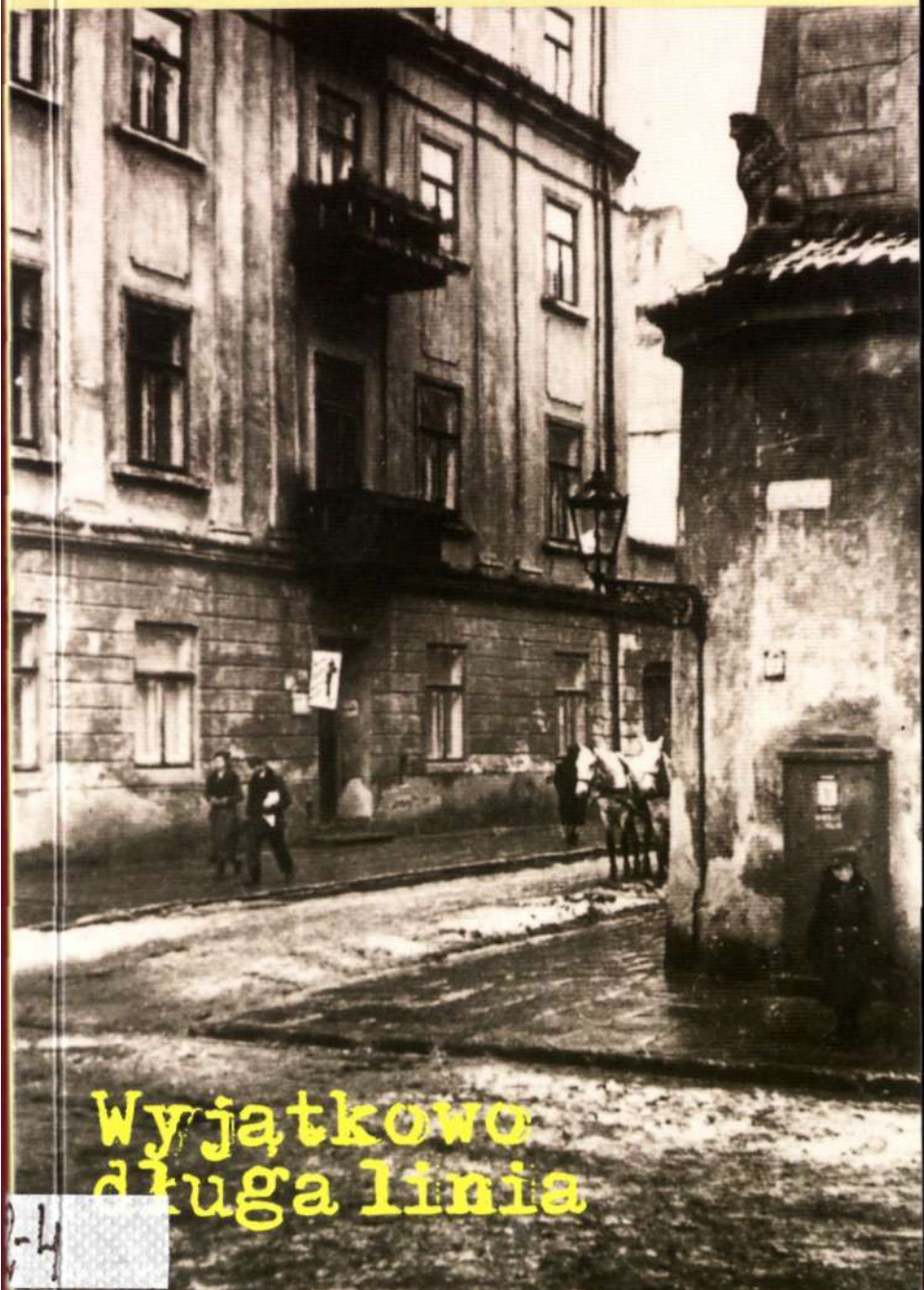


Hanna Krall



Wyjątkowo
długa linia

2-4

Hanna Krall

**Wyjątkowo
długa linia**

Wydawnictwo a5
Kraków 2005

K a m i e n i c a

Jest trzypiętrowa, otynkowana, z dachem dwuspadowym o więźbie drewnianej, z sienią pośrodku, na planie prostokąta.

Zbudowano ją czterysta siedemdziesiąt lat temu.

Staęła na piwnicach - głębokich, rozległych, krętych jak labirynt.

Zbudowano kamienicę - *in circulo civitatis*. Co powinno znaczyć „w centrum świata”, a znaczy zaledwie - w obrębie miasta.

Pierwszym jej właścicielem, w szesnastym wieku, był kupiec korzenny Jan Aromatarius.

W wieku dziewiętnastym przeszła na własność małżeństwa Arnsztajnow - Franciszki i Marka. Ona była poetką, on doktorem medycyny.

Wiek się kończył i małżonkowie postanowili zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia. Wybrali ceniony zakład fotograficzny - Atelier Photographique. (Adres też był złotymi literami: Faubourg de Cracovie, Krakowskie Przedmieście).

Marek A. pozował stojąc: wyprostowany, pewny siebie, z jasnymi oczami, z nieprzystrzyżonym wąsem opadającym na górną wargę. Jedną rękę wsunął za poję surduta, drugą położył na książce. Książka była gruba, naukowa zapewne. Musiał ją ze sobą przy-

nieść. Chyba że A. Stepanoff, właściciel Atelier, miał w zakładzie potrzebne rekwizyty.

Franciszka A. siedziała na krześle - czarnowłosa, ładna, z dużymi, zamyślonymi oczami. A. Stepanoff prosił ją, być może, o uśmiech, ale nie miała zwyczaju uśmiechać się na czyjeś życzenie.

Warkocz upięła z tyłu głowy. Nie widać go na zdjęciu. Był bardzo piękny, lśniący, opuszczony sięgał bioder. Nie obetnie go do końca życia. Kiedy umrą już wszyscy - synowa, mąż, syn, narzeczona syna, kiedy w wielkim, mrocznym mieszkaniu na pierwszym piętrze zostaną we dwie, ona i ośmioletnia dziewczynka, jej wnuczka, będzie zaplatała ten warkocz niezmiennie, każdego ranka. Od czasu do czasu wnuczka przykłęknie na podłozie, z gazetą w jednej ręce, z nożyczkami w drugiej i wyrówna końce włosów. Będą coraz cieńsze, coraz bardziej żałosne.

Pierwsze piętro. Medycyna i poezja

Znowu byłem u panny B., opowiadał - mógł opowiadać - Marek Arnsztajn przy kolacji, po powrocie od chorej. (Starał się mówić wyraźnie i bardzo głośno: jego żona miała od jakiegoś czasu kłopoty ze

słuchem.) Zastanawiają mnie jej drgawki. Może są od zmian w mózgu? albo od zmian peryferycznych, działających refleksyjnie? Chora wypadła kiedyś z powozu więc mogły rozwinąć się zmiany wsteczne nerwów peryferycznych. Ze zmiany w peryferji mogą wywołać drgawki, wiadomo od dawna, Frerichs demonstrował taki wypadek w zimowym semestrze. Przemawia za tym i pareza dolnej kończyny. Diagnozę postawiłem *epilepsia reflexa*, a leczenie jak w *epilepsia peripherica*, nerwy należy odżywić galwanizacją, a gdyby ta nie dała poprawy...

Przeczytam ci wiersz, mówiła - mogła mówić - Franciszka Arnsztajnowa. Ledwie słyszała samą siebie i bała się, że mówi za głośno. Na wszelki wypadek czytała półgłosem, szeptem prawie:

*Och, smutno! zielony
Mój pałac zmieniony
W ruiny.
Wśród drzew nagich szczytów
Lśni niebios błękitów
Szmata siny;
Wskruszone sklepienie
Zagląda wskroś cienie
Dzień szary;
Dach z liści rozwiany,*

*Adrzew sterczę ściany,
Jak mary...*

Ładne, chwalił M. A. Smutne trochę, ale bardzo ładne.

Wiesz o czym opowiadałem w Towarzystwie Lekarskim? mówił innego wieczoru, po powrocie z zebrania naukowego. O pilokarpinie w zastosowaniu do eklampsji.

O czym? dopytywała się RA., bo jej mąż, rozgrzany wykładem, zapominał o głuchocie.

O PILOKARPINIE W ZASTOSOWANIU...

Piękne słowa, zachwycała się cichutko F. A. Eklampsja zwłaszcza. Pilokarpina też dobrze brzmi, ale wolę eklampsję.

Eklampsja jest niebezpieczną chorobą, informował z powagą. Czasami kończy się śmiercią z powodu rozcieńczenia krwi. Wiesz, że Breus leczył eklampsję gorącymi kąpielami? Jacquet środkami napotnemi, a Schroder zawijał chore w wełniane dery maczane w wodzie. Ja dawałem na poty polikarpinę. Kwestia inna, czy należy zupełnie polegać na tym środku. Obok można stosować chloral w wielkich dawkach, najlepiej w lewatywie...

Napisałam wiersz, informowała F. A.

*Hen na zachodzie słońeczko tonie,
Purpurą płonie;*

*Wśród zasp głębokich, drogą bez końca,
Brnę śladem słońca;
jak białoskrzydłych motyli stada
Lekko śnieg pada,
Złośliwe duchy wabiąc pieczętą,
Cicho sieć plotą...*

Medycyna i poezja - ciąg dalszy

O ostrym wynicowaniu i wypadnięciu macicy - przypadku pomyślnie zakończonym dzięki szybkiej interwencji Marka Arnsztajna. Według relacji w „Medycynie. Czasopiśmie Tygodniowym dla Lekarzy Praktyków, wydawanym przez gremium Lekarzy”:

... około godziny dwunastej w nocy wezwany zostałem do wielorodzącej Roz. R... Około godziny dziesiątej urodziło się dziecko żywe, donoszone. Po daremnym oczekiwaniu na odejście łożyska akuszerka przytrzymała przewiązaną pepowinę, rodząca zaś nadymała się silnie. Wsunęło się nazewnątrz ciało, jakiego akuszerka w ciągu 30-letniej praktyki nie widziała. Co się z chorą działo, nie pamięta. W jakie dwadzieścia pięć minut byłem na miejscu. Zastałem chorą bardzo bladą, z kończynami zimnymi. Między udami leżało ciało sinoczer-

wone, wielkości głowy dorosłego człowieka. Nie podlegało wątpliwości, że mieliśmy do czynienia z wypadnięciem macicy (*prolapsus uteri inversi*).

Podczas mycia rąk wodą z mydłem a następnie odkażania ich sułtimatem, zastanawiałem się nad tern jak mam postąpić...

Ręką prawą odprowadziłem część macicy, która nasamprzód się wynicowała, w kierunku osi małej miednicy; następnie rozwarłszy pałce, odprowadzałem ku górze wkleśniętą część dna, nareszcie ręką ułożoną w pięść, dno odepchnąłem... Cały rękoczyn trwał pięć-sześć minut. .. Chora wróciła do zupełnego zdrowia.

Opisany przypadek zasługuje na uwagę ze względu na pomyślne zakończenie, które wykazuje o ile wczesna pomoc w takich razach jest pożądaną.

Z wiersza Franciszki Arnsztajnowej:

*Kochaj mię, piękne dziecię, lecz kochaj z uśmiechem!
Liczo zbAydnie, gdy też twych zrosi je ulewa;
Niech przepadnie kochanka, co płacze lub ziewa:
W miłości nuda - hańbą, łzy - śmiertelnym grzechem.*

Kochaj mię, piękne dziecię, lecz kochaj z uśmiechem!

Trzecie piętro. Asekuracje

Meir Reichgold, przedstawiciel kilku towarzystw asekuracyjnych - od ognia, kradzieży, chorób, gradobicia, na życie i dochodów dożywotnich - otworzył biuro. Na kamienicy umieścił szyld ze złotymi literami za jedenaście rubli pięćdziesiąt kopiejek. Kupił woźnemu ubranie, czapkę i osiem guzików za dwadzieścia osiem rubli siedemdziesiąt kopiejek (uprzednio otrzymał od Towarzystwa zwrot pieniędzy jedynie za dwanaście guzików, podczas gdy uniform woźnego liczy guzików dwadzieścia). Ponadto kupił pieczętki, słomiankę i klucz.

Meir R. miewał wątpliwości. Pytał wtedy Wielmożnych Panów Dyrektorów: czy może ubezpieczyć drzewo opałowe w sagach w lesie; co z towarami w sklepach; co z maszynami w wiejskiej gorzelnii, której budynki są murowane i twardo kryte; co z policmajstrem, który chce się ubezpieczyć od zabójstwa na pięć tysięcy rubli - i tak dalej.

Meir R. bywał wielce zdziwiony. Towarzystwo upominało się o wpłatę, chociaż on ją zupełnie w całości dawno posłał; Towarzystwo nie wypłaciło mu prowizji; wypłaciło prowizję, ale nie całą; nie dostał listu od Panów Dyrektorów; dostał list, ale bardzo nieetyczny więc nie zamierza nań odpowiadać.

Meir R. czuł się dotknięty do żywego. Wielmożni Panowie zarzucili mu, że jego klienci zaczynają chorować, jak tylko wykupią stosowną polisę, a przecież zachorowało wszystkiego trzech klientów i to kto: sędzia okręgowy, właściciel składu win i kupiec pierwszorzędny oraz pan radca Rządu Gubernialnego; czyż godzi się takich ludzi podejrzewać o nieuczciwość?

Meir R. przypominał. Pracować w asekuracji umie, owszem, ale tylko jak jest w odpowiednim humorze, zaś niejaki Malberg psuje mu humor, zatruwa mu życie i zabiera całą energię.

Meir R. rozgoryczał się. Komornik opieczętował jego meble, ale Panowie Dyrektorzy z pewnością przyznają kiedyś, że Reichgold był i jest człowiekiem porządnym i darmo całą tę boleść i kompromitację mu zrobili.

Urażona Meir R. otworzył skład mydła do prania oraz zajął się szpagatem charkowskim. Klienci używali dotychczas szpagatu częstochowskiego i kijowskiego, a charkowskiego wcale, Meir R. miał więc nadzieję, że szpagat charkowski wyprze dzięki niemu tamte szpagaty i to bardzo szybko.

Niestety, Meirowi R. nie powiodło się ani w mydle ani w szpagacie, zawiadomił więc Wielmożnych Panów Dyrektorów, że wraca do swego miłego zajęcia: do asekuracji.

Wszystkie listy Meir R. pisał z kopią. Cienkie biułyki oprawione były w okładkę - płócienną, czarną, 25 x 30 centymetrów.

Kopiał będzie jedną z dwóch rzeczy, które Meir R. zabierze ze sobą kiedy go wypędzą z domu. Drugą będzie mezuzah. Zwitek pergaminu z fragmentem biblii, przybity do drzwi mieszkania na trzecim piętrze przez parędziesiąt lat.

Kamienica - ciąg dalszy. Piwnice

Jan Aromatarius trzymał w piwnicach - głębokich na trzy piętra - skrzynie z przyprawami i beczki z winem, wężryzmem najpewniej, może z hiszpańskim alikantem.

Paweł Liszowski, sto lat później, chował tam sztaby złota i ozdoby dla kobiet; wyrabiał je w swoim warsztacie w sąsiednim budynku. W labiryncie korytarzy złodziejom nigdy nie udało się znaleźć złotego skarbcza.

W czasach heroicznych bojownicy o wolność gromadzili w piwnicach amunicję i broń. Słuchali także wykładów; przedmioty nosiły nazwy: „balistyka”,

„nauka o broni” i „zabezpieczenie działań bojowych”.

Czas heroiczny nastał na krótko przed wojną, europejską - pierwszą światową. Gimnazjaliści i harcerze sposobili się do walki o wolną ojczyznę, a Franciszka Arnsztajnowa pisała dla nich wiersze. W kolejnych rocznicach powstań narodowych zbierali się w jej salonie. Salon był ogromny, z masywnymi meblami, ze storami, które - zasunięte - nie przepuszczały światła, z kominkiem, na którym stała patriotyczna urna. Jan Arnsztajn, syn gospodyni, i jego koledzy szkolni stawali przed urną (leżały w niej prochy nieznanego powstańca, czy może ziemia z pól bitewnych) i recytowali utwory poetyckie F. A. pod tytułem *O Matko*, *O Polsko* lub *Ballada Listopadowa*. Były w tych utworach ryngrafy i karabele, wspomni rówieśnica Jana Arnsztajna, była modlitwa matki pod lampką oliwną, *w zakończeniu zaś blask wschodzącego słońca przeglądał się czerwienią w żelazie szabli i pługa*.

W piwnicach i lochach pod kamienicą Jan Arnsztajn i jego koledzy wzięli karabiny za długie dla nich, nałożyli mundury za obszerne, i tornistry z łaciatej cielejącej skóry, która *budziła nieokreślony żal do świata* i poszli do Legionów

Podczas drugiej wojny podziemia chroniły przed bombami.

Nadlatywały samoloty i na wszystkich piętrach zaczynały dzwonić filiżanki w kredensach. (W roku trzydziestym dziewiątym, gdy wojna zaczynała się, dzwoniły w żydowskich kredensach. W roku czterdziestym czwartym, gdy się kończyła - w pożydowskich.)

Po porcelanie odzywały się psy. Najgłośniej wył seter angielski na pierwszym piętrze, wabił się Lady.

Po psach rozlegał się płacz obudzonych dzieci. Kobiety były już spakowane, brały pierzyny i suchary i wszyscy schodzili do schronu.

Wiele lat później, blisko pół wieku później, w piwnicach ulokuje się ekskluzywny bar.

W kamienicy już nie będzie mieszkańców. Będą firmy: kable, rury, światłowody, alternatywne źródła energii... Jedyne mieszkanie Marka i Franciszki Arnsztajnow nie znajdzie nabywcy. Na białe, puste salony będą patrzyły tylko kobiety ze ścian. Surowe i zalotne, ładne i pospolite, w perukach, woalach, z robótką w ręku albo z kwiatem... Nie wiadomo kto je namalował i dla kogo; kto i dlaczego pośpiesznie ukrył pod tynkami. Odsłoni je, po dwustu pięćdziesięciu latach, remont kamienicy. Pracownicy firm zaczną opowiadać, że słyszą kroki. Ktoś schodzi na dół z pierwszego piętra. Otworzą drzwi, zejda, nie będzie nikogo. Zamkną drzwi - i znowu kroki, zawsze na dół, do piwnic. Wieczorem zagłuszy je mu-

zyka z baru, ale w dzień będzie słychać bardzo wyraźnie.

Kamienica - ciąg dalszy, Widok z okien

Z lewej strony byli Dominikanie - klasztor i kościół. Byli starsi od kamienicy o jakieś trzysta lat. Rozsławiła ich relikwia: drzewo z krzyża, na którym umarł Jezus. Znalazła je w czwartym wieku Helena, matka cesarza Konstantyna. Pojechała do Jerozolimy otrzymawszy we śnie nakaz od Boga. Nie wiedziała gdzie krzyża szukać i zwróciła się o pomoc do rabinów. Najstarszy z nich, imieniem Judasz, wskazał miejsce - podziemia świątyni Wenus. Helena zburzyła świątynię i znalazła trzy krzyże. Nie wiedziała, który jest krzyżem świętym więc na każdym układała umierającego człowieka. Gdy ułożyła go na trzecim krzyżu, chory ozdrowiał. Rabin Judasz pod wrażeniem cudu przyjął chrzest, a Helena podzieliła trzeci krzyż na trzy części. Ofiarowała je - Jerozolimie, papieżowi i swojemu synowi, cesarzowi Bizancjum. Siedemset lat później część jerozolimską zawędrowała do Kijowa, czterysta lat później powierzono ją

pieczy kijowskiego biskupa, imieniem Andrzej. Biskup postanowił zawieźć relikwię do Krakowa. Jechał przez Lublin. Zatrzymał się w klasztorze Dominikanów, odpoczął, kazał zaprząć konie i wsiadł do karety. Konie nie ruszały z miejsca. Wsiadł, z relikwią w rękach, i konie ruszyły. Kiedy powtórzyło się to dwukrotnie, biskup uznał, że drzewo powinno pozostać w Lublinie. Tak się stało.

Podczas rozbiorów klasztor Dominikanów zamknięto, w budynkach ulokowano carskie koszary.

Podczas ostatniej wojny w kościele koczowali ludzie wypędzeni z domów. Przybyli z przedmieścia, z osiedla Majdan Tatarski. Tworzono tam getto. Nazwano je nowym gettem, przeznaczonym dla Żydów z nowymi auswajсами. (Każdy dokument miał dużą, czarną, dobitną literę J pośrodku równie czarnej Gwiazdy Dawida.) Żydzi, którzy nie mieli tych auswajśów, zostali w starym getcie i zginęli w Bełżcu. Do ich mieszkań przeniesiono ludzi z kościoła Dominikanów. Żydzi z Majdana Tatarskiego zginęli na Majdanku. Ludzie z kościoła Dominikanów mogli wrócić do swoich domów.

Wiele lat później - ponad pół wieku później - mężczyzna, który jako dziecko koczował w kościele z rodzicami i babką, opowie co zdarzyło się w żydowskim mieszkaniu w starym getcie. Była tam mała, ciemna spiżarnia, opowie. Moja babcia weszła do



środką z zapaloną świeczką i zobaczyła deskę. Odsunęła ją i zobaczyła schowek. W schowku siedzieli właściciele mieszkania, kobieta i mężczyzna. Świeczka zaczęła drżeć, ci ludzie nic nie mówili, tylko patrzyli na babcię. Świeczka drżała coraz bardziej, babcia przestraszyła się, że zrobi się pożar, zdmuchnęła płomień i przestała Żydów widzieć. Babcia była mężną kobietą i pozwoliła im zostać w kryjówce. Siedzieli tam trzy dni, czwartego dnia przyszli Niemcy i żydowski policjant. Babcia powiedziała bardzo spokojnie, że żadnych Żydów tutaj nie ma. Piątego dnia męstwo opuściło moją babcię i Żydzi wyszli z mieszkania. Mam nadzieję, powie mężczyzna, że babcia nie kazała im wyjść, sami zrozumieli i poszli sobie, a babcia tyle tylko, że ich nie zatrzymywała.

Inny mężczyzna opowie o Stysi, dziewczynce, w której kochał się mając dwanaście lat. Zobaczył ją wśród Żydów prowadzonych ze starego getta. Poznała go i pomachała ręką. On też chciał pomachać, ale przestraszył się i nie uniósł ręki.

Inny mężczyzna opowie o staruszce, którą w starym getcie Niemcy wyrzucili przez okno z drugiego piętra. Stwierdzili, że jeszcze żyje. Nie dobili jej, stanęli nad nią i czekali. Mężczyzna - był wtedy czternastoletnim chłopcem - poszedł do domu, wziął poduszkę, nalał wody do kubka ale nie wrócił na ulicę.

Stał w oknie - z poduszką i kubkiem w rękach. Starsuszka umierała na bruku dwa dni.

Dominikanin, ojciec Waldemar, opowie - wiele lat później - o Żydówce, która przybiegła do klasztoru podczas wojny. Weźcie te swoje świętości i chodźcie się modlić, bo zginiemy, krzyczała Żydówka. Ojcowie wzięli świętości - drzewo krzyża, na którym umarł rodak Żydówki. Wyszli z kościoła. Stanęli przed gmachem Trybunału Koronnego i modlili się...

Pięćset siedemdziesiąt jeden lat po przybyciu biskupa Andrzeja, w niedzielę, o szóstej rano, furtian otworzy drzwi zakrystii i wejdzie do kościoła. Jak każdego ranka przed pierwszą mszą zapali światła. Uda się do głównego wejścia; zdziwi się, że rygiel w wewnętrznych, dębowych drzwiach jest odsunięty, a wrota bazyliki lekko uchylone. Zawróci, podejdzie do Kaplicy Drzewa Krzyża Świętego. Uspokoi się: kratka przed kaplicą będzie zamknięta. Otworzy następną kratę, niewielką, na ołtarzu, chroniącą schowek z relikwiami. Schowek będzie pusty.

Zbiegną się ludzie. Radiesteci przyniosą waha-dełka. Jasnowidzowie opowiedzą sny. Ktoś zejdzie z różdżką do przepastnych podziemi klasztornych, a wracając stromymi schodami dostanie ataku serca. Ktoś zauważy, że Ukraina właśnie odzyskała niepod-

ległość, więc pewnie dzięki relikwiom, które wróciły po latach do Kijowa.

Policja przystąpi do skrupulatnych czynności śledczych. Zbada zamki, zabezpieczy linie papilarne i mikrowłókna, stwierdzi, że włókna nie pochodzą z habitów zakonnych, zawiadomi przejścia graniczne, sporządzi portret psychologiczny, przesłucha, przeszuka, sprawdzi alibi i nie zlekceważy informacji radiestetów i różdżkarzy. Po dokonaniu tych czynności umorzy śledztwo wobec niezalezienia sprawców.

Widok z okien - ciąg dalszy

Z prawej strony był Trybunał Koronny, młodszy od kamienicy o pięćdziesiąt lat. Ustanowił go król, jako sąd najwyższej instancji w sprawach cywilnych, uczynkowych, kryminalnych i o nadużycie władzy.

Powagę Trybunału celebrowano starannie i surowo karano najmniejsze przeciw niej uchybienia. Deputatowi, który w sporze spoliczkował adwersarza, ucięto głowę; innemu *głowa zleciała*, bo dobył pałasza podczas kłótni. Pojedynki w mieście były zakazane; kto chciał pojedynkować się, musiał wyjechać na odległość trzech mil. Obrońca trybunalski Jan Du-

klan Ochocki pojechał do Piask, by legalnie obciąć ucho szlachcicowi, który go zniewazył.

Kadencja Trybunału - od pierwszego poniedziałku po niedzieli przewodniej do Świętego Tomasza w połowie grudnia - była czasem bujnego życia towarzyskiego w całym mieście.

Tego Trybunału - wspominał Jan Duklan - mieszkała z matką swoją pani podkomorzyna, wdowa, lat trzydzieści kilka mieć mogąca, osoba bardzo bogata, ale gruba, niezgrabna, twarzy ogromnej i niepięknej, nie mogąca wzbudzić miłości, chociaż przyjemna w obejściu. .. Nie byłem zakochany, ale intryga ciągnęła się.

Zakochał się Jan Duklan w innej, szczuplejszej i młodszej, która przyjechała ze Lwowa z trupą aktorską, bowiem dzięki Trybunałowi kwitło w mieście i życie teatralne. *Nóżki miała maluteńkie, płęć osobliwszej białości jak krew z mlekiem lub śnieg, przez który się karmin przebija...* Talentu nie miała wprawdzie, bo *brakło jej śmiałości, pantomimy, mimiki i deklamacji*, ale mecenas zaopiekował się nią troskliwie, po czym wydał za mąż za pana Zborowskiego, mężczyznę majątnego, postawnego, choć nieśmiałego bardzo, który miał właśnie sprawę w Trybunale.

Po zakończeniu kadencji Jan Duklan opuścił miasto (przyjaciele odprowadzili go do osady Tatarzy, gdzie pili i smucili się całą noc); co się pani Zborowskiej tyczy to z *pierwszej słabości zmarła*, zaś mąż jej

zginął w powstaniu kościuszkowskim śmiercią bohatera.

Członkami Trybunału Koronnego były osoby godne, bogobojne i cnotliwe, ale każdy, kto miał w Trybunale sprawę, zawczasu zabiegał o przychylność sądowych urzędników. Matka Kasztelana Brzesko-Litewskiego, Marcina Matuszewicza, która pozwała przed sąd samego Sapiechę, postanowiła na wszelki wypadek wydać córki za trybunalskich patronów. (W jej majątku, w Rasnej, miał się odbyć jarmark, jak zawsze na Świętego Eljasza, ale Sapiecha rozstawił na drogach swoich ludzi. Zatrzymali kupców, jadących z towarami - z futrami z Moskwy i z koźmi z Chocimia, skierowali ich do majątku Sapiechy i przechwycili jarmark. Pani Matuszewiczowa straciła tysiące talarów i miała o co się w Trybunale procesować.)

Plan powiódł się i młodszą córkę, Kunegundę, *różgami strasząc, do nóg upadając i wiele obiecując* matka skłoniła do małżeństwa z wpływowym wdowcem, Ruszczycem.

Do starszej córki, Maryanny przybył w konkurencji inny patron, kawaler Lechnicki. Przywiózł kapelę i bogate prezenty, odbył się ślub, ale natychmiast zaczęły się kłopoty.

Maryanna płakała, bo wołała innego, *grzecznego, hożego i pięknych talentów*; ojciec grymasił, bo nie-

pewny to szlachcic, który konno przybywa, nie kare-
tą... Sprawnie załatwiono rozwód i Lechnicki opu-
ścił Rasnę bez żony.

Nie był to koniec kłopotów.

Sędzia brzeski, nazwiskiem Grabowski, który skrycie kochał Maryannę, rozpił się po jej ślubie z rozpaczą, a pani Matuszewiczowa toczyła właśnie inny spór, z kahałem brzeskim, winnym jej jedena-
ście tysięcy złotych nie licząc prowizji. Posłała do Ży-
dów sędziego Grabowskiego, który był tego dnia w melancholii większej niż zwykle. Wszedł nietrzeź-
wy do szkoły żydowskiej i *operę naturali* próbował za-
łatwić. Żydzi mało sędziego nie zabili na miejscu, ale nie był to koniec kłopotów: Sapieha oskarżył właści-
cielkę Rasnej o oszczerstwo! *Już miano nas za zgubio-
nych*, wspominał Kasztelan, *gdy pan Bóg pokazał moc
i miłosierdzie swoje*, Sapieha nagle zmarł trafiony
apopleksją.

Jeżeli wierzyć innym oskarżeniom wnoszonym
przed trybunał i urzędy grodzkie, to:

rabin Ostrowca krzywdził służącą u niego dziew-
kę, uwiódł niewinną Rachelę i pobierał prowizję od
biednych, ale komisarz powołany dla zbadania spra-
wy, zarzutów nie potwierdził;

lubelscy chirurdzy napadli w nocy na lekarza kra-
kowskiego i zabrali mu instrumenty medyczne: czte-
ry puszczadła i dwa lancety;

bracia Erszek i Męka z Końskowoli *wchodzili w związki z katolickimi mieszczkami końskowolskimi*, Męka miał nawet syna z niejaką Czopówną, poza tym obrażali proboszcza i dopuszczali się występ-ków;

dziedzic Kazimierz B. przyznał swoim Żydom nadmierne uprawnienia i preferencje a nawet ma-wiał: *lepszy u mnie Żyd niż ksiądz*, o co pozwał go do Trybunału miejscowy proboszcz,

i tak dalej.

Z i e m i a . G w i a z d a . P o t r z e b a f o r m y

Na ulicy, zaraz za Trybunałem, były domy modli-twy, przytułek dla starców i ochronka dla dzieci.

Wiele lat później pojawią się na nich tabliczki. Zawiadomią, że coś się tutaj mieściło. Ochronka mieściła się. Przytułek się mieścił... (Na kamienicy też będzie tabliczka: ... mieszkała Franciszka Arn-sztajnowa.)

Wzdłuż ulic staną ludzie z zapalonymi świecami. Będą podawali sobie z rąk do rąk gliniane naczynia. Od strony jezdni dwupasmowej - stała tam kiedyś wielka synagoga - będą podawali naczynie z żydow-

ską ziemią. Od strony placu, na którym stal kościół - naczynie z ziemią chrześcijańską. Ziemie spotkają się, katolicki ksiądz - Żyd przesypie je do drewnianej donicy i posadzi pędy winorośli. Zapadnie wieczór. Kiedy dopalą się płomyki świec, spadnie deszcz i podleje winorośle. Będzie to wzruszające i piękne.

Innego dnia ludzie ułożą z cegieł Gwiazdę Dawida i wypełnią ją rozżarzoną węglem drzewnym. Zakład Energetyczny na prośbę autora pomysłu wyłączy w okolicy prąd, Gwiazda Dawida zapłonie w ciemnościach. Będzie to piękne.

Wszystko musi mieć swoją formę. Nieobecność musi mieć formę szczególnie wyszukaną.

Pierwsze piętro. Przybłądo

Franciszka Arnsztajnowa zwróciła się do żydowskiego Boga (*Boże mych ojców, wielki Boże Izraela...*) jeden raz, kiedy zaczynała pisać wiersze. Skarzyła Mu się. Opowiadała Mu o świecie - że ją odtrąca. Ze nie życzy sobie jej obecności. Ze ma dla niej, obcej, słowa bezlitosne: ... *I nigdy nam braćmi twe dzieci nie będą, I nigdy ci matką rodzoną zwać ziemię, A imię twe - tułacz... precz od nas, przybłądo.*

Przybłąda w wierszu wzięła na ramię torbę i kij,
gotowa do drogi.

F. A. wzięła do ręki pióro.

Zaczęła obłaskawiać świat.

Zaludniła go: grajkciem, co śpiewa rzewnie na
skrzypkach lipowych, matulą, która grajkowi się dzi-
wi i Najświętszą naszą Panienką, do której modlą się
oboje. Dopełniła muszkami, biedronkami, skibami,
łanami płowymi, modrakami, kąkolami i dzwonami,
co na pasterkę dzwonią, dzwonkiem, co na Anioł
Pański i wiewem wiatru.

Dla paru innych Żydówek żarliwie garnących się
do chrześcijaństwa, Matka Boska była drogą do Bo-
ga. (... *Jest na przecięciu Boga i Stworzenia* pisała jed-
na z nich.)

Dla Franciszki Arnsztajnowej była drogą do pol-
skości. Była Najświętszą Panienką z przydrożnych
kapliczek i patriotycznego ryngrafu.

W pismach innych, garnących się do chrześcijań-
stwa Żydówek, jest myślenie o Bogu.

W wierszach Franciszki Arnsztajnowej nie ma
myślenia. Może miała myśli, lecz nie wyrażała ich, bo
nie dysponowała mądrymi słowami. Była z Młodej
Polski, która przemawiała językiem uczuć. Ten język
więził i skarłał myśl jak nieforemny gorset.

Edyta Stein i Simone Weil - kształcone na do-
brych europejskich uniwersytetach - znały słowa mą-

dre i ważne. Dzięki temu wiadomo dlaczego Edyta Stein przyjęła chrzest i dlaczego Simone Weil go nie przyjęła.

Franciszka Arnsztajnowa ochrzci się mając ponad siedemdziesiąt lat.

Nie wiadomo dlaczego.

Wiadomo, że do getta pójdzie z własnej woli i już ochrzczona.

Ofiara

(Azriel Horowitz był rabinem. Zwano go Żelazną Głową, bo - mówiono - kiedy patrzył na drzewo, wiedział ile jest na nim liści. Był bardzo pobożny, bardzo uczony i bardzo nie lubił chasydów. Najbardziej drażniły go ich modlitwy, a modlitwą chasydzką jest wszystko: taniec, śpiew, biesiadny stół i radosne obcowanie ze Stwórcą w lasach albo na łące.

Mistrzem lubelskim chasydów był Jakub Icchak. Zwano go Wdzącym. Z czoła i oczu rozmówcy odczytywał przeszłość, przyszłość, grzechy i dobre uczynki, a widział - mówiono - na odległość czterystu mil. To go męczyło, bo dostrzegał dużo szpetoty

i zła, poprosił więc Boga o pomoc. Bóg go wysłuchał i Jakub Icchak widział odtąd na odległość stu mil.

Któregoś dnia Azriel Horowitz spytał Widzącego dlaczego garnie się do niego tak wielu ludzi. Przewyższam cię urzędem i uczonością, wywodził, a oni chcą słuchać tylko ciebie... I ja się dziwię, odparł Widzący. Ale mnie wybrali właśnie dlatego: bo dziwię się, że przychodzą. W przeciwieństwie do ciebie, który dziwisz się, że ich przy tobie nie ma...

Legenda głosi, że Azriel Horowitz zmarł podczas wielkiej zarazy.

Nie od choroby zmarł. Zakopano go na cmentarzu żywego i w pełni sił. Wierzył, że swoją ofiarą przebłąga Boga i odwróci od miasta morowe powietrze.

Azriel Horowitz zwany Żelazną Głową był pradiadkiem Franciszki Arnsztajnowej.

F. A. nie napisała o nim jednego słowa - wierszem ani prozą.

Do żydowskiego Boga zwróciła się jeden raz, a potem - do Najświętszej Pani (enki.)

Pierwsze piętro. Lekarz

Marek Arnsztajn, wzywany do chorego, badał go, udzielał rad i zmierzał do wyjścia. Rodzina pytała o wysokość honorarium. On pytał czy ją stać na jakiegokolwiek.

Jeśli nie było stać, mówił: nic nie szkodzi, bogaci za was zapłacą. Zegnał się i szedł na najwyższe piętro.

Pukał do drzwi.

Pytał: potrzebujecie lekarza?

Jeśli potrzebowali, zostawał („nie szkodzi, bogaci już za was zapłacili”). Jeśli nie, pukał do następnego mieszkania.

Za każdym razem, w każdej dzielnicy biedoty - to samo, od najwyższego piętra po parter.

Był przy pacjentach aż do końca.

Kiedy umierał katolik, przychodził do kościoła. Kiedy prawosławny, przychodził do cerkwi.

Kiedy umierał Żyd, był jednym z minjanu - dziesięciu dorosłych żydowskich mężczyzn, którzy odmawiają modlitwę kadisz.

Drugie piętro. Narzeczona

Miała dwadzieścia parę lat, blond włosy, oczy zielonoszare i wyraźne cienie pod oczami. Wyglądała na zmęczoną lub senną. Ludzie myśleli, że się maluje, ale to były naturalne cienie.

Zagrała kilka ról. W sztuce Croisseta i Flersa była osiemnasta na afiszu (obsada liczyła osiemnaście osób). W sztuce Lucjana Rydla (obsada: kilkanaście postaci oraz Topielcy i Topielice) była jedną z Topielic.

Raz ją wspomniano w recenzji, po premierze *Murzyna Warszawskiego*. Prezentowała się mile - określenie recenzenta. Mówiła: *Miłość to jest gra, w której można tyle wygrać co przegrać. Zakochany subiekt odpowiadał: Jest milion sposobów wygrania tej gry. A warta jest całego życia.*

Wśród premierowej publiczności był Jan Arnsztajn.

Na drugim przedstawieniu też był.

Po trzecim zapukał do garderoby. Wręczył jej gałązkę białego bzu i papier z kwaciarni. Był koniec stycznia, poradził, by owinęła bez, bo zamarznie. Zauważyła, że ma zniekształconą lewą rękę. W kawiarni „Europa” spytała, czy lubi teatr. Powiedział, że tak sobie, chociaż zna osobiście pewną autorkę sztuk te-

atralnych, a także pewnego aktora. Aktora, prawdę mówiąc krótko znał i dawno temu. Przy drugim martellu wyjaśniło się, że blizny na ręku są z wojny bolszewickiej, od kuli dum-dum.

Zainteresowała się autorką.

Ma długi warkocz, który kiedyś był czarny, oczy ma czarne nadal i przeszło sześćdziesiąt lat. Jest moją matką, dodał, i zaczął - nieco rozwlekle - streszczać dramat sceniczny pod tytułem *Krystyna*. Bohaterka, sławna rzeźbiarka, dla sztuki poświęciła miłość. Nie skończyło się to najlepiej, skomentował. W czwartym akcie wychyliła biedaczka kielich z trucizną...

Spytała co z aktorem.

Skazano go na rozstrzelanie, powiedział Jan A. i przestał się uśmiechać.

Nie miał imienia. „Grodzicki” mówiło się, nigdy inaczej. Z wędrowną trupą teatralną jeździł po kraju. Wstąpił do Legionów. Przywłaszczył sobie pieniądze oddziału i podawał się za oficera, którym nie był. Sąd polowy skazał go za zdradę.

Jechali furmankami: skazaniec, kapelan Legionów ojciec Kosma i kilkunastu żołnierzy. Ksiądz odmawiał litanię, Grodzicki dopytywał się czy Komentant spełnił jego prośbę. Oficer nie odpowiadał. Był maj, wieczór, niebo w gwiazdach. Grodzicki głośno skarżył się, że to ostatni maj w jego życiu i znów spy-

tał o Komendanta, czy spełnił prośbę. Zatrzymali się pod lasem. W świetle latarek elektrycznych żołnierze wykopali dół. Ksiądz dał rozgrzeszenie. Grodzicki ucałował krzyż. Oficer odczytał wyrok sądu polowego i oficjalnym, surowym głosem powiedział: Komendant Piłsudski uwzględnił waszą prośbę. Grodzicki wyprostował się. Stanął nad dołem. W ciemnościach, wśród drzew, wyraźnie białała jego koszula. Rozległ się okrzyk: „Stawaj w rząd!” - i żołnierze stanęli w szeregu. „Gotuj broń!” - i żołnierze podnieśli karabiny. „Cel pal!” - i padła salwa. Grodzicki zachwiał się i osunął do grobu. Żołnierze sięgnęli po łopaty. W drodze powrotnej ktoś spytał oficera dlaczego wydawał komendy zmienionym głosem, jakby nie swoim. To byłem nie ja, wyjaśnił oficer. To Grodzicki. Napisał Komendantowi, że chciałby wydawać rozkazy i Piłsudski zgodził się. Grodzicki sam rozkazał żołnierzom, żeby go rozstrzelali.

 Spytała skąd zna tę historię. Ktoś opowiedział panu?

 Opowiedział, przytaknął Jan A.

 Wie pan coś o jego rolach? dopytywała się, ale Jan Arnsztajn nie znał ról Grodzickiego. Poza ostatnią.

 Wspaniała była, nieprawdaż?

Tekst lakoniczny, zauważył Jan A., ale wykonanie rzeczywiście bez zarzutu.

Wspaniała, powtórzyła z zachwytem. Sam sobie rolę napisał, sam zagrał... Tak trzeba, kiedy jest się artystą do końca.

Od paru lat Jan Arnsztajn był wdowcem. Jego żona, koleżanka ze studiów medycznych, robiła w pro-sektorium sekcję zwłok i skaleczyła się skalpelem w palec. Stwierdzono zatrucie jadem trupim. Była w ciąży. Urodziła zdrową córkę, umarła dwa miesiące później, na ogólne zakażenie zwane sepsą. Jan Arnsztajn powierzył dziecko dziadkom i zajął się medycyną, grą w tenisa i życiem towarzyskim. Znajomy dziennikarz zabrał go na *Murzyna Warszawskiego*. Sztuka była irytująca: o głupim, bogatym Żydzie, snobującym się na polskość. Na szczęście głupi Żyd miał piękną córkę z zielonymi oczami.

Zamieszkali na drugim piętrze, nad rodzicami Jana. Na trzecim mieszkał subiekt bez zajęcia Mejlech Winograd z żoną Rywcią, oraz agent ubezpieczeniowy Meir Reichgold z siedmiorgiem dzieci. Na parterze - Michalina Szurowska, dozorczyńni domu, z rodziną.

Gruźlica. Tuba. Morze Kaspijskie

Głuchota Franciszki Arnsztaj nowej gwałtownie pogorszyła się na skutek gruźlicy.

Wielu ludzi chorowało po pierwszej „europejskiej wojnie”. Chorowali żołnierze na froncie, a *dotknięci suchotami nieszczęśliwi wojownicy rozeszli się szeroko po krajach, stanowiąc wśród rodzin, do których wracali, źródło zarazy*. Chorowali podopieczni przytułków i schronisk; lokatorzy ciasnych, ciemnych i wilgotnych mieszkań; chorowali bogaci i biedni, zakażony był cały kraj.

(Z gazet: „Chorzy na płuca! Spytajcie się swego lekarza, a ten wam potwierdzi, że od suchot umiera więcej ludzi niż od innych chorób. Każdy więc, kto cierpi na kaszel, zaflegmienie płuc oraz koklusz, powinien natychmiast zabrać się do leczenia. Dobrym środkiem na choroby płuc okazał się preparat FAGASOL. Przy użyciu FAGASOLu w krótkim czasie zmniejsza się kaszel, wzmagają się apetyt i chory nabiera ciała. FAGASOL dostać można we wszystkich aptekach...”.)

Biednych leczono psim łojem i roztworem chloru. Bogatych - klimatem, złotem podawanym dożylnie i alkoholem. Kuracja szampanem trwała pół ro-

ku, należało wypić dwie butelki każdego dnia, zrobić przerwę i znowu codziennie dwie butelki.

Franciszce Arnsztajnowej szampan wyleczył płucę, na głuchotę nie pomógł.

Kupiła sobie tubę - czarną, sztywną rurę z bakelitu. Mówiło się w nią powoli i niskim głosem. Drugi koniec F. A. trzymała przy uchu, a kiedy nie słyszała czegoś - sięgała po kartkę wyrwaną z zeszytu. Ludzi najbliższych rozumiała bez trudu, czytała im z warg. Wszystkie przedmioty - ołówki, zeszyty i tubę - miała zawsze przy sobie, w dużej skórzanej torbie, jakie nosiły położne.

(Wnuczka F. A. zachoruje na gruźlicę dwadzieścia lat później i też podczas wojny. Wyleczy się prościej i taniej. Będzie rąbała rosyjski las. Powietrze jest tam czyste i rześkie, zimą nie mniej niż trzydzieści pięć stopni. Po dwóch latach wnuczka wyruszy do polskiej armii całkiem zdrowa - niestety, armia będzie po prawej stronie, zaś pociąg pojedzie prosto i zatrzyma się, kiedy skończą się tory. Wnuczka wysiądzie i zobaczy przed sobą Morze Kaspijskie. Odwróci się i zobaczy parę domów, a w dali step i pasące się wielbłądy. Po powrocie z rosyjskiego lasu, znad Morza Kaspijskiego i z armii, która tym razem będzie po właściwej stronie torów, wnuczka F. A. stanie przed kamienicą. Nie wejdzie do środka, będzie stała i stała na ulicy. Ludzie, których nic widziała nigdy

przedtem, wyjrzą z okien. Popatrzą z zaciekawieniem na jej mundur. Na beret z orłem. Na guziki z orłami. Na wszystkie te orły - prawdziwe przecież ale i nieprawdziwe, skoro pozbawione korony... Spytają dlaczego stoi tutaj. Powie im, że tak sobie. Tak sobie, powtórzy, zaszaluje i pójdzie na dworzec.)

Gruźlica - ciąg dalszy. Stach

Na gruźlicę chorował Stanisław Czechowicz, kolega Jana Arnsztajna z gimnazjum, nielegalnego harcerstwa, Legionów i wojny 1920 roku.

Dzieciństwo spędził w suterenie - z rodzicami, siostrą i młodszym bratem. Schody były spróchniałe, ściany wilgotne, zewsząd sterczały rury, w których szumiały i przelewały się ścieki. Ojciec był woźnym, matka sprzątaczką.

Ojciec popadł w obłąd. Umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym, żeby nie był zagrożeniem dla świata i dla rodziny. *Ojciec jest przerażający: mówi od rzeczy, bawi się guzikami, chodzi w szpitalnym chałacie, a posługacze patrzą na niego wilkiem...*

Którejś nocy uciekł ze szpitala, przyszedł *do* domu i próbował mordować żonę i dzieci. Obezwładniono go. Wrócił do szpitala. Jego zwłoki znaleziono w podlubelskim miasteczku. Nie wiadomo - zabił go ktoś, czy popełnił samobójstwo.

Stach, mimo biedy, świetnie się uczył. Dużo czytał. Opanował języki klasyczne i nowożytne, wykładał łacinę w żeńskim gimnazjum.

I on przywiózł gruźlicę z wojny. Przyjaciele wysłali go do Meranu, ale klimat mu nie posłużył. Choroba zaatakowała jelita, umarł kilka dni po powrocie z kuracji.

Stach Czechowicz bywał u Arnsztajnow.

Najpierw w patriotyczne rocznice, potem na wykładach z balistyki i nauki o broni, potem zwyczajnie, u kolegi.

Lubił tu bywać.

Cenił dobre towarzystwo, modnych krawców, kawiarnie i znane salony.

Dobrze się czuł na pierwszym piętrze: wśród książek, rozmów o poezji, w normalnej rodzinie ze zdrowym ojcem.

Któregoś dnia krzyknął do tuby: **MÓJ BRAT TEŻ PISZE WIERSZE!**

Tak? zdziwiła się uprzejmie F. A. Proszę go przeprowadzić.

Pierwsze piętro. Czechowicz

*Liczę 22 piętra
liczę 22 lata
jest nas...*

Siedziała u szczytu stołu.

Naprzeciw niej stał młodzieniec - zwały, duży, z brązowymi bystrymi oczami i czytał z kartki wiersz.

Nie słyszała go.

Wiedziała, że mówi głośno, widocznie brat uprzedził go, że tak trzeba, ale nic nie słyszała i niczego nie umiała odgadnąć z ruchu warg.

Proszę podejść, powiedziała i sięgnęła do torby po tubę.

Podszedł.

LICZĘ DWADZIEŚCIA DWA PIĘTRA! - krzyknął do czarnej, bakelitowej rury.

Umilkł.

Roześmiał się.

TO SIĘ NIE NADAJE DO POEZJI! znów krzyknął. DO PROZY MOŻE, NIE DO POEZJI!

Ma pan słuszność, i ona roześmiała się, i odłożyła tubę. Wyciągnęła rękę. Podał jej kartkę z wierszem i wrócił na poprzednie miejsce.

Dzielił ich długi stół nakryty ciemnozieloną tkaniną. Pośrodku stała naftowa lampa.

Zaczęła czytać. Podniosła wzrok i zobaczyła, że i on mówi wiersz, z pamięci, z nią razem.

*Liczę 22 piętra
liczę 22 lata
jest nas dwudziestu dwóch
Człowiek to transformator
a przecież można liczyć miesiące albo dni
ileż wtedy sobowtórów ma staruszka w pince-nez*

Przy słowie „staruszka” spojrzął na nią. Zawahał się, jakby nie pamiętał co dalej.

Nie odpowiedziała.

*Liczę sześćdziesiąt pięter - zaczęła
liczę sześćdziesiąt lat
jest nas sześćdziesiąt*

Sześćdziesiąt... powtórzył. Tym razem domyśliła się co mówi i skinęła głową.

Prawda, że to przeraża pana?

Podszedł do niej. Wziął kartkę ze swoim wierszem, przez chwilę pisał coś na odwrocie i przesunął w jej stronę.

Przeczytała:

*W tumanach, ciszy, stawów głębi
Słońce przepala się na szarość
I czai się, jak lis w porębie,
Z nieznanym dni przybłąda - starość.*

Zaczekał aż skończy i zabrał kartkę.

Napisał:

Grzeszę - rdzewieję - liście gubię.

Koniec. Las nie las i łan nie lan...

Lubię jesienneć tak i lubię

Siedzieli teraz obok siebie.

Nie odrywała wzroku od jego słów.

To o mnie, powiedziała. Lubię jesienneć tak...

O mnie, tylko lepiej... Piękniej niżbym sama umiała...

Czy chce pani, żebym zapalił lampę? spytał.

Piękniej, niżbym ja sama...

Czechowicz - ciąg dalszy

Kochał poezję i chłopców.

Pierwszym chłopcem, o którym opowiadał, był Zenek, jego uczeń w wiejskiej szkole w Słobódce. Spacerował z Zenkiem po mszy *{Pod starą jodłą doszliśmy do nieporozumienia}*. Dostał od Zenka kaczęńce *(Mokre. Smutno mi przy tych kwiatach)*. Z Zenkiem rozmawiał o Bogu. Gdy Zenka nie było w szkole, dzień wydawał mu się bez sensu. Jeszcze

gorzej, gdy Zenek był i nie uśmiechnął się. Na szczęście innego dnia Zenek przychodził uśmiechnięty... Wieczorami w tej Słobódce czytał *Fajdrosa. Wzruszające są te słowa o kochającym i kochanku, wypowiedziane z górą dwa tysiące lat temu.*

Inny chłopiec był złotowłosym aniołkiem. Inny - zuchwałym młokosem z bezczelnymi oczami i blizną po nożowej rozprawie. Dorastali, porzucali go, odchodzili do kobiet, a on pisał o nich wiersze:

*mały mój ukochany
trudno z miłości się podnieść
a jeszcze ciężiej od złych nowin
gdy patrzysz na mnie ciemnym nowiem*

Ubierał się niedbale, zwykle w czarny sweter i rzadko prasowane spodnie.

Nie umiał tańczyć, ale bywał w lokalach i przyglądał się tańczącym. Rzadko palił, chociaż zawsze miał przy sobie fajkę. Traktował ją jak rekwizyt - postukiwał nią albo nabijał tytoniem.

Jadał proste potrawy. Powiedział komuś: wstałem dziś wcześniej, wypłem szklankę zsiadłego mleka, było pięknie.

Lubił słodczyce. Na balu prasy zjadł przez noc pięćdziesiąt jeden pączków i wypił trzy butelki słodkiego wina.

Na pytanie o Wielką Tajemnicę odparł: słyszałem, że gdzieś jest, ale osobiście nigdy się z nią nie zetknąłem.

*(ciszą ty chcesz mnie przebić
w milczeniu słyszać twe wieki
groźbą wołasz do siebie
boże daleki)*

Bał się obłądu. Prześladowała go myśl, że odziedziczy chorobę po ojcu.

W Paryżu (o *wszystkie mosty paryża serce się tłukło tłukło*) zachorował na oczy. Od tamtej pory bał się, że oślepie.

Zniknął w tym Paryżu na parę dni, odnalazł się w Domu Świętego Kazimierza - przytułku, w którym umarł Norwid.

Zdawało mu się, że ma sobowtóra. Zobaczył go za miastem, na szosie. Był przerażony. Przybiegł do przyjaciół: znowu go widziałem... Mego Drugiego...

Znana rzeźbiarka pracowała nad jego popiersiem; o coś obraził się na nią i nie chciał pozować. Artystka się rozłościła, siekierą rozbiła rzeźbę i Czechowicz znowu zaczął przychodzić.

Kochał prowincję:

*dokoła
pagórów koła
dymiąca czarnoziemu połąć*

*mgły nad sadami czarnemi
znad łąki mgły
zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły*

Przeczuwał przedwczesną śmierć:

*Na rzęsach wstydliva łąza
widzę w niej świat gliniany jak skarbonka
nachodzi na mnie lodowa łąka
to już nie ja.*

Powiedział kiedyś: nie ma zbiegów okoliczności,
wszystko się z sobą łączy i ma swój sens.

Pierwsze piętro. Śmierć

Z gazet:

... Już od samego południa wąskie uliczki starego miasta, sąsiadujące z ulicą, gdzie znajduje się mieszkanie rodziny b.p. dr. Arnsztajna zalegały tłumy ludzi, pragnących oddać Zmarłemu ostatnią posługę.

O godzinie 3-ej popoł. nastąpiła eksportacja zwłok, których nie umieszczono na wozie żałobnym lecz poniesiono do miejsca wiecznego spoczynku.

Wiadomość o mającym się odbyć pogrzebie ściągała co chwila większe tłumy ludzi z wszystkich krańców miasta, tak że jak można było sięgnąć okiem ulice były przepełnione nieprzeliczonym morzem głów.

... Podczas pogrzebu wszystkie sklepy na ulicach, któremi przeciągał żałobny pochód, były zamknięte.

... Za niesionym nieboszczykiem kroczyła najbliższa rodzina.

Wśród wielotysięcznego tłumu ludzi zauważyliśmy p. wojewodę, licznych przedstawicieli wojskowości, policji, sądownictwa, świata lekarskiego, inteligencji miejscowej i po prostu olbrzymie rzesze ludzi powodowanych głębokim żalem z powodu śmierci b.p. dr Arnsztajna, który cieszył się niezrównaną popularnością. Nie tylko w sferach, z których sam pochodził, lecz również i wśród szarej masy biednej ludności, której niósł swą samarytańską pomoc w ciągu 47 lat.

... Lekarze, będąc sami chorzy lub dotknięci chorobą w swych rodzinach, udawali się zwykle do niego, a z nadanego mu z tego powodu tytułu: *medicus medicorum* (lekarz lekarzy) był on słusznie dumny.

Na Pogotowie Ratunkowe

Dla uczczenia pamięci zacnego D-ra Marka Arnsztajna, zł 10 składa A. Borsukiewiczowa.

Na budowę pomnika Jana Kochanowskiego
Zamiast kwiatów na grób b.p. D-ra Marka Arnsztajna wybitnego lekarza i zacnego człowieka, złotych 20 składają D-stwo Majewscy".

Drugie piętro. Diabeł

W drugi dzień Wielkanocy Jan Arnsztajn przyszedł do przyjaciela, redaktora miejscowej gazety. Zauważył w przedpokoju niezwykle przedmiot: dużą, ciężką laskę, zrobioną ze skręconego drewna, zakończoną rzeźbą, głową diabła. Diabeł był złowrogi i piękny. Arnsztajn miał wrażenie, że mu się przygląda - uważnymi, na pół przymkniętymi oczami. I że uśmiecha się, uśmiechem niepokojącym i zagadkowym.

Położył rękę na rzeźbie - i cofnął. Była to lewa dłoń, zraniona podczas wojny, oszpecona kilkoma operacjami. (Prawa, na szczęście, była w porządku i nadal fantastycznie grał w tenisa.)

Ujął laskę ponownie, zdrową ręką i powiedział, że chciałby ją mieć.

Jest do wzięcia, powiedział przyjaciel, ale nie jest to rzecz zwyczajna. Wyrzeźbił ją dawno temu ukraiń-

ski pasterz. Miała wielu właścicieli, każdemu przynosiła najpierw powodzenie, a potem nieszczęście. Każdy, prędzej lub później, umierał na suchoty.

Przyjaciół wiedział to od Józefa Czechowicza. Poeta przyniósł drewnianego diabła razem z opowieścią o pasterzu poprzedniego dnia. Zamierzał wrócić po niego i chyba chciał go wyrzucić, ale Arnsztajn zapewnił, że nie boi się przesądów.

Zabrał laskę do domu.

Po paru miesiącach zachorował na grypę. Po grypie stwierdzono gruźlicę. Po roku miał pierwszy krwotok z płuc.

Chorował pod czułą opieką narzeczonej, najpierw w swoim mieszkaniu na drugim piętrze, potem w Zakopanem. Zapewniał, że nie wierzy w przesady, że chorobą zaraził się od pacjentów, ale narzeczonea wyrzuciła laskę na śmietnik.

Drugie piętro. Śmierć

Z gazet:

... W dniu wczorajszym dotarła do nas niezmiernie smutna wiadomość o śmierci szeroko znanego w naszym mieście lekarza, dr. Jana Arnsztajna.

... Już jako uczeń poświęcił się pracy w szeregach organizacji niepodległościowych.

... wstąpił do Legionów do 6. Baonu.

... dla pogłębienia swej wiedzy zawodowej udał się do Wiednia, gdzie studjował choroby serca i płuc u sławnego profesora Neumanna.

... Przez szereg lat był mistrzem naszego miasta w tenisie.

... Ś.p. dr Jan Arnsztajn wyraził przed śmiercią życzenie aby pochowano go w mundurze oficera armji polskiej.

Życzeniu temu stanie się zadość.

... Z Warszawy donoszą nam:

W dniu wczorajszym odbył się w stolicy uroczysty pogrzeb ś.p. dr. Jana Arnsztajna.

... Na środku świątyni wśród zieleni i świateł widniała trumna; na trumnie szabla i czapka oficerska.

... W jasny słoneczny dzień zimowy spoczął w cmentarnej ziemi na wieki dzielny człowiek.

Narieczona - ciąg dalszy

Dwa miesiące po pogrzebie narieczona Jana Arnsztajna przysłała jego córce paczkę i list. W paczce były ubrania dla lalki, zrobione szydełkiem i na drutach. W liście było jedno zdanie: „Mam nadzieję, że spodobają ci się włóczkowe sukienki, nie zobaczymy się prędko, pamiętaj, że cię kochałam, Janka”.

Trzy miesiące po pogrzebie narieczona przyszła na wojskowy cmentarz.

Nosiła czarną suknię i kapelusz z długim czarnym welonem. Zapaliła papierosa i usiadła przy grobie.

Rzuciła niedopałek na ziemię, znów zapaliła.

Zaczęła krążyć po pobliskich alejkach i dookoła grobu.

(Długo musiała chodzić, bo wszędzie leżały niedopałki papierosów. Pozbierał je ogrodnik, już po wszystkim i opowiedział o nich Franciszce Arnsztajnowej. Nie był pewny, czy słuchała, chociaż uprzejmie wyjęła tubę z torebki.)

Po południu poszła do cmentarnej kaplicy. Spytała księdza czy samobójstwo z miłości jest grzechem. Ksiądz poprosił, żeby usiadła. Nie chciała usiąść i nie chciała rozmawiać. Chciała się dowiedzieć, czy samobójstwo z miłości... Tak, powiedział ksiądz. Jest

grzechem. Czy żonę, która zabiła się z miłości wolno pochować w grobie ukochanego? Skoro jest grzechem... Zaczął i zawahał się. Oboje milczeli. Ja bym pochował, powiedział ksiądz.

Wróciła do grobu.

Tuż przed zachodem słońca strzeliła sobie w serce. Celnie strzeliła, jeden raz, z pamiątkowego rewolweru legionisty Jana Arnsztajna.

Nie ma przeszkód do pochowania ciała, stwierdził ksiądz w „akcie o śmierci za Nr. 19”.

Pochowano ją w grobie ukochanego.

Trzecie piętro. Dziecko Rywci

Rywcia Winograd, żona Mejelecha, subiekta bez zajęcia, urodziła dziecko. Samuel, jej pierworodny syn, przyszedł na świat z defektem: nie miał paznokci. Takie nieszczęście, rozpaczła Rywcia Winograd, i nie ma do kogo pójść.

Przez pięćdziesiąt lat mieszkańcy parteru i trzeciego piętra leczyli się u Arnsztajnow. Przez czterdzieści siedem lat na pierwszym piętrze, przez ostatnie trzy - na drugim.

Były to różne piętra. Na pierwszym kłębił się tłum. Ludzie siedzieli na krzesłach i stali pod ścianami długiego, ciemnego korytarza, w dni targowe zajmowali całą klatkę schodową. Unosił się nad nimi zapach biedy: niedopranej odzieży i niedożywionych ciał. Na drugim piętrze była przestronna poczekalnia z czasopismami w różnych językach, z uśmiechniętą pokojówką i zapachem dobrej wody kolońskiej.

Młody Arnsztajn brał przykład z ojca - powtarzał jego dobroduszne żarty i nie przyjmował pieniędzy od sąsiadów, ale to już nie było to. To już nie to, wdychali mieszkańcy kamienicy po śmierci starszego Arnsztajna, chociaż - chorzy - zasiadali w miękkich fotelach pachnącej poczekalni.

Po śmierci młodego Arnsztajna w kamienicy zapanała cisza.

Nie było lekarzy.

Nie było pacjentów.

Była Franciszka Arnsztajnowa z nieodłączną tubą - milcząca i półobecna.

MÓJ SYN URODZIŁ SIĘ BEZ PAZNOKCI! - krzyknęła do tuby Rywcia Winograd. - **TAKIE NIESZCZĘŚCIE A DOKTORÓW NIE MA!**

Przykro mi, szepnęła Franciszka Arnsztajnowa. Dodała: mój syn urodził się z paznokciami, i co z tego?

Zamierzała odejść, ale zawahała się i uśmiechnęła się do Rywci: urosną, proszę się nie martwić.

Miała rację.

Gdy zacznie się wojna, Samuel Winograd będzie miał paznokcie w porządku, wszystkie, u rąk i u nóg.

Pierwsze piętro. Smutno

Zostały we dwie.

Wnuczka spędzała dnie w klasztornej szkole Urszulanek, do domu wracała o zmroku, mijała ciche, ciemne pokoje, w ostatnim pokoju siedziała za stołem Franciszka Arnsztajnowa. Zawsze z papierosem, nad papierami, w czarnej sukni, z siwiejącym warkoczem upiętym z tyłu głowy.

Podnosiła wzrok i o coś pytała - o koleżanki, szkołę albo siostry zakonne. Przykładała do ucha tubę i czekała na odpowiedź.

SIOSTRA MARIA SŁYSZAŁA JAK SIĘ MODLĘ I MNIE ZAPROWADZIŁA DO SIOSTRY PRZEŁOŻONEJ!, wołała wnuczka do tuby, powoli, jak mogła najgłośniej. POWIEDZIAŁA SIOSTRZE PRZEŁOŻONEJ, ŻE JA SIĘ NIGDY NIE MODLĘ TAK JAK WSZYSTKIE!

A jak się modlisz? pytała F. A.

SWOIMI SŁOWAMI! PANU BOGU JEST NUDNO KIEDY WSZYSCY SIĘ JEDNAKOWO MODLĄ!

Masz rację, zgadzała się F. A. A jakie były twoje słowa?

PANIE BOŻE! krzyczała wnuczka. NIECH BABCIA ZACZNIE SŁYSZEĆ! NIECH MI NIE BĘDZIE Z BABCIA TAK SMUTNO!

Nie wysłuchał cię Pan Bóg, mówiła F. A. bez uśmiechu. I już cię nie wysłucha.

Wnuczka nie lubiła tuby - czarnej i sztywnej. Nie lubiła powoli mówić. Lubiła robić papierosy. Siedziała przed kominkiem, napełniała tytoniem gilzy i układała w blaszanym pudełku pod ręką babki.

F. A. zapalała jednego papierosa po drugim, robiła w powietrzu kilka kółek zapałką i nie patrząc rzucała ją na stół. Kartka zapalała się, wnuczka biegła na pomoc i obie w popłochu gasiły wiersz.

Nad kominkiem wisiał obraz. Przedstawiał ładną, ciemnowłosą kobietę w fotelu, w czerwonej sukni, z rękami złożonymi na kolanach.

To twoja matka, mówiła F. A. Dodawała: wiem, że wiesz.

Po jakimś czasie przyglądała się kobiecie i mówiła: to twoja matka.

Wnuczka nie pytała RA. jak powstał portret - matka pozowała, czy artysta namalował ją po śmierci, już z fotografii.

Nie pytała o suknię - z jakiej okazji uszyto tę uroczystą, szyfonową toaletę.

Nie pytała o wiersz - F. A. wymyśliła sobie tańczącą dziewczynę, czy tak tańczyła jej matka:

Jak piankę

Niosły cię z krańca w kraniec

Trzewiczki ze złotej łamy.

Jak w taniec, jak w taniec

Szłás w życie...

Wystarczyło jej kilka rzeczowych słów, które usłyszała od ojca, które brzmiały jak początek złowrogiej bajki: skaleczyła się w palec, urodziła cię i umarła.

Franciszka Arnsztajnowa nie zabierze portretu do getta.

Wnuczka nie zabierze go ze sobą do tajgi.

Zawiśnie gdzieś, w obcym mieszkaniu, daleko od kamienicy.

Podobnie jak żyrandol z brązu.

Oglądanie żyrandola niczemu nie służy, powie jego nowa właścicielka. Po co oglądać, powtórz twardo i odłoży słuchawkę.

(Bo pod nim siedzieli.

Młody, olśniewający poeta. Stara, głucha autorka wierszy, których nie chce się pamiętać.)

Czechowicz - ciąg dalszy

Nie przestawiała mebli, nie kupowała nowych rzeczy, było po dawnemu: długi stół na przysadzistych nogach, obrus z zielonego aksamitu, trójramienny żyrandol, pośrodku stołu naftowa lampa, chociaż kamienica miała już światło elektryczne.

Ona też siedziała po dawnemu, u szczytu stołu.

Czechowicz kładł przed nią zapisany, kratkowany zeszyt.

Czekał.

Czytała w milczeniu, ale niektóre wersy powtarzała na głos. Przytakiwał głową: wiedziałem, że to się pani spodoba.

Kiedyś zaczynał od grzecznych pytań - były łatwe, więc odgadywała je z ruchu warg.

Co u pana doktora? Miał na myśli jej męża.

Potem - co u pana kapitana? Miał na myśli jej syna.

Potem - co u synowej? Miał na myśli narzeczoną.

Potem - co w ogóle?

Opowiadała co w ogóle - krótkimi, rzecz/owymi zdaniami, chociaż pytał niezdawkowo.

Rywcia Winograd urodziła dziecko bez paznokci, pocieszałam ją, że urosną.

Córka Meira Reichgolda nie może uczyć się francuskiego. Rodzice zabronili, bo lekcje są w sobotę, pocieszałam ją, że można się nauczyć samemu.

Moja wnuczka znowu modliła się w szkole swoimi słowami. Nie, nie pocieszałam jej, z wnuczką rozmawiam jak z człowiekiem dorosłym, mówiła RA. i z bloku do pisania listów wrywała arkusik z wierszem, porządnie przepisany, z kunsztownymi ornamentami w dużych literach.

Słuchał. Przesiadał się. Zaczynał pisać - o wierszu, który mu przed chwilą czytała, albo - własny wiersz, niegotowy, nad którym jeszcze pracował. Ich kartki leżały blisko siebie. Zaglądała mu przez ramię. Kiedy odrywał ołówek - jakby zawieszał głos - próbowała domyśleć się dalszego ciągu, na ogół nietrafnie. Dopisywał. No tak, mówiła, oczywiście, że tak.

Postanowili złożyć w całość niektóre kartki, jego i jej. F. A. przepisała je na czysto. Wyszedł długi utwór, pięćdziesiąt sześć wersów podzielonych na „Głosy” - kobiece i męski. W ostatniej strofie napisała przy dwóch wersach „Razem”.

*spokojnie wejde, starzec, w odwiecznych ognisk światło,
bom żył dwojaką siłą: czekania i kochania.*

(to on)

*Już zachód. Dzień się kończy. Cóż łowów niewolnik
ma w sieci?*

(to ona)

*Cóż zostaje pod srebrną Lachezis kądzielą?
Dzieło - poezji odblask i ciało - w stygmatach.*

(to on)...

Przynosił wiersze o zagładzie, która nadciąga.
Nasłuchiwał jej. Próbował ją oswoić słowami.

*jedno to jest od wieków
głód zagłada i ty
jedno to jest od wieków
głód zagłada i ty*

Mówił, pisał właściwie: w pani losie spełnia się to,
czego się bałem przez całe życie. Czego nadal się bo-
ję. Czego się boję najbardziej: śmierć i samotność.
Idą za mną krok w krok, ale panią dopadają, nie
mnie. Bierze je pani na siebie za nas oboje.

Więc nic złego nie może się panu przytrafić, pisa-
ła, chociaż mogła powiedzieć na głos.

Pociesza mnie pani jak Rywcię Winograd, uśmie-
chał się, ale wydawał się uspokojony.

Kamienica - ciąg dalszy

Franciszka Arnsztajnowa przeniosła się do Warszawy.

Na pierwsze i drugie piętro wprowadzili się nowi lokatorzy, do każdego mieszkania po kilka rodzin.

Kiedy zaczęła się wojna, na wszystkich piętrach schronili się ludzie z innych miast. Z zachodnich - uciekali przed Niemcami, ze wschodnich - przed Rosjanami. W kamienicy czuli się bezpiecznie.

Mieszkańcami byli:

Jechuda Szefer - stolarz, Jankiel Dechtman - krawiec, Hinda Holeman z dziećmi - Abramem, Mordechajem, Jechoszuą, Cywią, Jechudą-Elim i Rywką, Symcha Arbesman - kupiec z żoną Rajzą i dziećmi - Tobcią, Chana, Fajgą, Sarą i Herszem (w Rynku mieli sklep spożywczy), bracia Cukermanowie - Chil i Aron Chaim ożenieni z siostrami Surą i Marią (mieli sklep z galanterią na Bramowej), Izaak Bronsztajn - subiekt z dziećmi - Sarą i Izaakiem, Szmul Diament - krawiec z żoną Chają i dziećmi - Abramem, Josefem, Rachelą-Esterą i Dawidem, Moszek Ajchenbaum - handlarz z siostrą Esterą, Aron Bromberg - malarz z żoną Małką, Lejb Wajngarten - subiekt z żoną Surą Jentą i synami - Boruchem i Motkiem-Jankielem, Chaim Landweber - szcztot-

karz, Aron Szloma Edelsztajn - urzędnik z żoną Esterą i synem Sewerynem, siostry Puterman - Cyrla i Fajga, robotnice, Eli Waser - krawiec z żoną Dwojrą, szwagierką Nechą i córką Perłą, Benjamin Bromberg - furman z synem Mojżeszem, Hersz Laderman - uczeń, Tomba Waserbaum - wyrobnica, Izrael Mordka Kerpel - krawiec z żoną Sarą-Marią i dziećmi - Izaakiem-Mojżeszem, Basią, Chana i Szajndlą, Icek Gertel - rymarz z dziećmi - Jakubem-Mejlechem, Izraelem-Iserem i Tombą, Abram Jakub Szumacher - subiekt z żoną Małką, Bolesław i Leonia Kipmanowie z córką Joanną, Lejb Szpiro - przemysłowiec z żoną Sarą-Gitlą i córkami Belą i Łają (mieli warsztat mechaniczny na Zamojskiego i telefon numer 270), Ela Ejchenbaum - kierowniczką z synami Benjaminem, Rubinem i córką (imię w księdze mel-dunkowej nieczytelne), Jakub Klajnberg - spawacz elektryk z żoną Ruchlą i synem Markiem, Jakub Fiszman - introligator i jego dzieci: Józef i Abram - ogrodnicy, Estera - introligator, Emma - ekspedientka z córką Giwebą i Maria - przy siostrze, Lezer Barenholz - technik dentystyczny, Arbesfeldowie Cypora i Szymon z synem Salomonem (Cypora miała sklep z kapeluszami damskimi - Chapeaux pour dames), synową Fajgą i wnuczką Chana, Izrael Mandelbit - administrator domu z żoną Teresą, Chaja Wigdorowicz - służąca, rodzina Lejba Bakmana -

kupca: Bajla, Frymeta, Artur i Mania, Eugenia Frajsman - modystka, Leon Krygier - fryzjer, Natan Finkler - dentysta z żoną Marią i córką Leją, Meir Reichgold - agent ubezpieczeniowy z żoną Heną, synami Abramem - rolnikiem, Herszem - szoferem-monterem i córką Belą, Mejlech Winograd - subiekt bez zajęcia z siostrą Cypą, siostrzeńcami Basią i Nachumem, żoną Rywcią i synem Samuelem, Gerszon Szpiro - sanitariusz z żoną Chana, Josef Holeman - handlarz z żoną Surą-Rywką, synami Henochem i Moszkiem - robotnikiem szewskim, synową Chają i wnukiem Berem, Eliasz Rozenberg - subiekt z żoną Frajdlą i dziećmi - Moszkiem, Rachelą, Sarą-Rebeką, Chają i wnuczką Miną-Deborą, Rywka Rozen-szer z córką Pesą, Fajga Danielewicz z córką Chają - robotnicą, Hendla Wajsblum - robotnica i Michalina Sz. - dozorczyńni z mężem Józefem i dwojgiem dzieci.

Przy wszystkich, z wyjątkiem dozorczyńni, w księdze meldunkowej zapisano: wyznanie mojżeszowe. Wysiedlono ich w drugim roku wojny. Do kamienicy wprowadzili się nowi lokatorzy, w księdze meldunkowej zapisano: wyznanie rzymsko-katolickie.

Czechowicz - ciąg dalszy.
Wyjątkowo długa linia

F. A. nie lubiła Warszawy. Bała się ruchu ulicznego. Długo zastanawiała się przed każdym wejściem na jezdnię, wreszcie ruszała - nagle, biegiem, nie rozglądając się, nie słysząc klaksonów i pisku opon.

Trzy pokoje odnajmowała sublokatorom, sama zajmowała największy. Stały tam stłoczone meble z kamienicy: szerokie łóżko, potężna szafa, kozetka wnuczki, na całej ścianie półki z książkami, na biurku - lampa, rozrzucone papiery, tytoń i maszynka do nabijania pustych gilz firmy Herbewo.

Gości przyjmowała przy małym stoliku. Próbowła nakryć go obrusem z dawnego salonu, ale zrezygnowała. Nie przeszkadzało jej, że zostało w nim więcej szorstkiej, szarej osnowy niż aksamitnej zieleni; zdjęła go, bo był za duży, sięgał podłogi i potykała się o frędzle.

Czechowicz miał przy stoliku stałe miejsce. Siedział twarzą do okna; lepiej go wtedy widziała i łatwiej było czytać z warg. Światło nie pomagało, rozumiała z trudem. Dopowiadał, jak zawsze, na kartkach - początkiem zdania, paroma słowami.

Tym razem mówił najwyraźniej jak umiał. Milczała, więc powtórzył jeszcze staranniej:

PRZYSZEDŁEM SIĘ POŻEGNAĆ.

PRZED WYJAZDEM...

Czekała.

NIC ZŁEGO NIE MOŻE...

Powtórzył na kartce, dokładnie, bez skrótów:

Nic złego nie może mi się przytrafić, sama pani mówiła.

Położył przed nią lewą rękę. Pokazał linie na dłoni - miłości, talentu i sławy.

A TO JEST...

Pokazał linię życia.

Najdłuższa.

NAJDŁUŻSZA, PROSZĘ SIĘ PRZYJRZEĆ!

Krzyczał i pisał na przemian.

Wspaniała!

WSPANIAŁA, PRAWDA?

WYJĄTKOWO DŁUGA LINIA!

Przytaknęła i wróciła do zajęcia, które przerwała na jego widok. Trzymała w rękach igłę, nici i czarną, wieczorową suknię.

Proszę dotknąć...

W poduszce na ramieniu wyczuł nieduży twardy przedmiot.

Zachichotała.

Już widzę jak niemiecka matka żołnierza zachłannie pruje moją cenną żorżetę... i co znajduje?

Śmiała się coraz głośniej.

Krzyż znajduje. Bohaterski syn przywiózł niemieckiej matce wojenne trofeum: Krzyż Polonia Restituta.

Był poniedziałek, czwarty dzień wojny. Kilka razy ogłaszano alarm przeciwlotniczy, bomby spadły na domy mieszkalne i fabryki, radio mówiło o poważnych stratach wśród ludności cywilnej, do Warszawy przywieziono pierwsze transporty rannych.

Zabrała się za drugą poduszkę i krzyże legionowe swojego syna.

*Obłoki wypchane samolotami lecą nisko..., powie-
działa nie przerywając szycia. Widzę też obłok na zie-
mi. To strach przedśmiertny ludzi. Ach, będą padali...*

Słuchał zakłopotany

Gdybym nie napisał, może by się nie stało...

Powspominali przedstawienie jego proroczej sztuki i nieprzychylne, kpiące recenzje (dzisiaj traktowałoby pana bardziej serio, pocieszyła go).

Porozmawiali o teatrze.

Kto skończył rolę, nie może wymagać, żeby go zatrzymano na scenie, mówił Czechowicz. Narzeczona Janka przyszła na cmentarz z rewolwerem, bo uznała swoją rolę za skończoną...

Przyszła na cmentarz, bo szukała formy, mówiła F. A. Teatr jest naturalną potrzebą człowieka. Teatrem uwzniośla własną śmierć i nie wymaga wtedy rampy ani widzów; jest publicznością dla samego sie-

bie. Kolega Janka, legionista Grodzicki, wydawał rozkazy nad swoim grobem, ale żołnierze, którzy go rozstrzelali, byli publicznością przypadkową. Prawdziwy widz był jeden, sam Grodzicki.

Czechowicz wręczył gospodyni „coś na pamiątkę” i zaczął zbierać się do wyjścia.

Prezenterem były zdjęcia, które zrobił przed laty. Jedno przedstawiało kamienicę.

Wiem, gdzie pan stał z aparatem... F. A. przyglądała się uważnie fotografii. Na rogu, przed Trybunałem. Jakże wyraźne są nasze okna...

Jeszcze pani tam siedzi, z książką i papierosem.

Okna mojego syna...

Jeszcze przyjmuje swoich wytwornych pacjentów. ..

Nie ma okien Rywci Winograd, były z boku, od strony Dominikanów. Ani agenta asekuracji... Jak miał na nazwisko?... Nie pozwalał córce uczyć się w sobotę francuskiego... Śniła mi się niedawno... Ucieszyłam się na jej widok, spytałam: jak twój francuski?

Pożegnali się.

Dotarł do Lublina w sobotę.

Poszedł się ogolić.

Zaczął się nalot.

Bomba spadła na zakład fryzjerski.

W zakładzie było kilku mężczyzn. Wszyscy ocalili - poza jednym. Jego szczątki wydobyto spod gruzów.

W kieszeni znaleziono książkę, słownik polsko-niemiecki, z napisem „własność Józefa Czechowicza”.

Pierwsze piętro. Prowincja noc

Eugeniusz Górniewicz był pułkownikiem, lekarzem weterynarii, z żoną i synami mieszkał w koszarach w mieście Z.

We wrześniu, w trzydziestym dziewiątym, mieszkańcy koszar poszli na wojnę.

Pierwsze niemieckie bomby trafiły w budynki wojskowe i rodziny oficerów pospiesznie opuściły mieszkania. Kilka godzin później do opustoszałych koszar zaczęli ciągnąć ludzkie.

Jechali furmankami z okolicznych wsi, szli pieszo z przedmieść, nieśli puste worki, pchali puste taczki i wózki ręczne. Przez cały dzień wywozili i wynosili dobytek oficerów.

Eugeniusz G. i jego synowie wrócili z frontu i ze szpitali polowych. Zastali ogołocony, splądrowany dom.

Wyjechali z miasta Z., zamieszkali w kamienicy na pierwszym piętrze, w dawnym mieszkaniu Franciszki i Marka Arnsztajnow.

Pierwsze piętro. Pościel

Oficerowie, którzy wrócili z wojny, zaczęli organizować ruch oporu. Zadenuncjowała ich Jadwiga K, żona kapitana, który był w niewoli. (Jej późniejsze losy nie są znane. Jej mąż zginął w obozie. Dlaczego doniosła - nie wiadomo.) Gestapo aresztowało kilkanaście osób, wśród nich Eugeniusza G. i jego trzech synów. Najmłodszy miał szesnaście lat. Po miesiącach tortur przewieziono ich na Zamek do więzienia.

Naczelnikiem był SS-man Paul Domnick, który kochał konie. Kiedy zachorował jego ulubiony wierzchowiec, wezwano Eugeniusza G. Pułkownik wyleczył konia; naczelnik - w rewanżu ocalił go przed Oświęcimiem, a synów wyciągnął z Majdanka. Skierowano ich do pracy w więziennych stajniach.

Któregoś dnia gestapo zażądało konnych platform z woźnicami. Wyjaśniło się, że są potrzebne do likwidacji getta.

Paul Domnick wyznaczył braci Górniewiczów, napominając, by nie przemęczali koni.

Stawili się w getcie o piątej rano. Zobaczyli zwłoki - na ulicach, w podwórkach, w pobliżu śmietników. Próbowali je policzyć, ale nie dali rady, ciał było kilkaset. Żywych ludzi nie widzieli z wyjątkiem policjantów żydowskich.

SS-man kazał im wynosić z mieszkań kołdry, pierzyny i poduszki, z jakichś powodów zależało mu tylko na pościeli. Bracia ładowali ją na platformy i wozili na bocznice kolejową.

W pierzynach i poduszkach znajdowali dzieci schowane przez rodziców i wścielone w łóżka. Niemowlęta były uduszone, starsze miały złamane czaszki. Bracia odnosili dzieci na plac; wieczorem wywożono je na Majdanek, do krematorium.

W jednym z mieszkań stał wózek dziecięcy. Ułożyli w nim niemowlę znalezione pod poduszką i poprosili żydowskiego policjanta, żeby odstawił wózek. Policjant był młodym, wesołkowskim mężczyzną. Zabrał dziecko i pogwizdując oddalił się w głąb korytarza. Korytarz kończył się drewnianymi schodami, policjantowi nie chciało się znieść wózka, pchnął go nogą, wózek przewrócił się i zwłoki potoczyły się po schodach.

Policjantów żydowskich rozstrzelano po likwidacji getta na jednym z podwórek. Niemcy mieli kara-

bin maszynowy, ale zabijali pojedynczymi strzałami. Mogli dzięki temu dłużej patrzeć na strach, płacz i błaganie o litość. Policjantów było ponad stu, egzekucja trwała dwie godziny.

Po wywiezieniu pościeli bracia G. wrócili na Zamek.

Więźniów Zamku wysyłano do obozów albo zabijano na miejscu - do ostatniego dnia okupacji. Ciała zabitych leżały w największej celi. Tworzyły wał - szeroki na sześć metrów, długi na siedem, wysoki na półtora metra. Wymiary zapamiętał Czesław G., który przyszedł do celi i w stosie ciał szukał żyjących. Znalazł kilku i przeniósł ich na podłogę. Pod głowę położył im żydowskie poduszki, które zabrał z getta.

W innej celi czekali mężczyźni przeznaczeni na Majdanek. Gestapowiec nazwiskiem Tanzhaus zaczął ich liczyć. Ostatni w szeregu stał młody więzień Sławomir Jurga. W rękawie miał lancet - długi nóż chirurgiczny. Kiedy Niemiec zbliżył się, przebił mu szyję i serce, potem podszedł do drzwi, oparł nóż o framugę i rzucił się na ostrze.

Dwa dni później do miasta weszła Armia Czerwona.

Eugeniusz Górniewicz i jego synowie wrócili do kamienicy.

Pierwsze piętro. Casablanca

Najstarszy z braci G. będzie budował okręty.

Średni brat wróci z więzienia z gruźlicą i wkrótce umrze.

Najmłodszy zostanie lekarzem weterynarii. Pojedzie do Maroka. Założy pastwiska w Górach Atlasu, będzie leczył zwierzęta, zaprzyjaźni się z Berberami, otrzyma od króla order i propozycję osiedlenia się na stałe. Odmówi, ponieważ w Maroku nie da się rozmawiać o Zamku.

Wróci do Polski.

Napisze o Zamku.

Będzie opowiadał o Zamku.

Wiesz co mi się przypomniało? powie córce, już chory, na krótko przed śmiercią. Ze te złamania na czaszkach zawsze były koło skroni i zawsze trójkątne. Wiesz od czego? Od kolby. Uderzenie kolbą zostawia taki trójkątny ślad.

Wiesz co mi się przypomniało? Ze jak on popchnął ten wózek i jak ten dzieciak potoczył się po schodach, to skoczyłem i z całej siły kopnąłem go w dupę. Należało mu się, ale dwa dni później zastrzelili ich, i on płakał, i głośno się modlił. Należało mu się, ale może nie powinienem...

Wiesz kto mi się przypomniał?

Sławek.

Przeszedł kilka kroków... Z tym nożem wbitym w pierś. Wystającym z piersi...

Drzwi ambulatorium były otwarte.

Wisiało tam lustro.

Oparł się o nie dwiema rękami.

Staliśmy za nim.

Widzieliśmy w lustrze jego twarz, on też nas widział.

Skrzywił się... To był uśmiech, chciał się uśmiechnąć do nas... Oderwał ręce i upadł. Od rąk zostały na lustrze krwawe ślady.

Wiesz co sobie pomyślałem?

Nie trzeba myśleć, przerwie mu córka. Opowiedz lepiej o Maroku. O górach, o Berberach, o pustyni...

Pomyślałem sobie, że nigdy nie uderzyłem żadnego dziecka.

Wiesz dlaczego?

Bo pamiętałem tamte niemowlaki.

Nie trzeba pamiętać, powie córka. Opowiedz o Maroku. Byłeś kiedy w Casablance?

Kamienica - ciąg dalszy. Droga

Żydowskich lokatorów wysiedlono z kamienicy na wiosnę. Pozwolono im zabrać ręczny bagaż.

Nieśli: plecaki, toboły z pościelą, zdjęcia rodzinne, szabasowe lichtarze, albumy ze znaczkami, tałesy w aksamitnych albo jedwabnych woreczkach, ulubione zabawki, miskę, z której w paru miejscach odpadła emalia, pudło z cylindrem (mężczyzna z trzeciego piętra wystąpił w tym cylindrze w Łęcznej, na ślubie starszego brata), kopie bardzo ważnych urzędowych listów sprzed półwieku, samowar, w którym schowano rulonik mezuzy...

Jechali furmankami do okolicznych miasteczek.

Z Bychawy, Kraśnika, Izbicy, Sosnowicy i Siedliszcza wracali piechotą.

* Nieśli: plecaki, toboły z pościelą, albumy, tałesy, zdjęcia, mezuzę...

W getcie podzielono ich na dwie kategorie - stemplowych i całą niestemplową resztę. Stemplowi mieli pracę i bezcenną pieczętkę w auswajsie, i mogli zostać w mieście. Niestemplowym kazano nałożyć wygodne buty i spakować ręczny bagaż. Była marcową, chłodną noc. Szli ulicami getta, w jaskrawym świetle reflektorów, potem polskimi ulicami, w nikłym świetle gazowych latarni.

Nieśli: plecaki, lichterze, pościel...

Poprowadzono ich do wielkiej synagogi.

Kazano czekać.

O świcie, przed końcem godziny policyjnej, wezwano pracowników Chewra Kadisza - Bractwa Pogrzebowego. Zebrali z ulic zwłoki starców, kalek i niemowląt, ślady krwi zasypali piaskiem przywiezionym z rzeki Bystrzycy.

S y n a g o g a

Była niewiele młodsza od kamienicy, liczyła blisko czterysta lat. Stanęła u stóp Góry Zamkowej, dzięki przywilejom królewskim. Król zezwolił Żydom na budowę *gimnasii et synagogae in suburbio Lublinensi*.

Była podniosła i piękna. Jej sklepienie opierało się na czterech wiązках rzeźbionych filarów; bime otaczała krata, jak kunsztowny haft; z sufitu na długich łańcuchach zwisały świeczniki. Tylko pozółkła, poplamiona kartka przybita gwoździem do drzwi szafy bibliotecznej była intymna i swojska. Na karteczce wypisano tekst kławy. Miała spaść na złodzieja ksiąg, kimkolwiek byłby.

Nosiła imię Salomona Lurii, zwanego Maharsza-
lem, rabina i rektora akademii talmudycznej.

Podziwiano go za wiedzę. Chwalono za skrom-
ność. Człowiekowi przenikliwemu, znanemu z od-
wagi powierzył obowiązek głoszenia prawdy o czy-
nach rabina. Człowiek ów przychodził do domu Lu-
rii; zajmował miejsce za stołem; Luria nakładał ta-
les; siadał naprzeciw prawdomównego Żyda i pokornie
słuchał jego słów.

Maharszał zwalczał scholastyczną metodę studio-
wania Tory. Jej zwolennicy zapewniali, że wszystko
łączy się ze wszystkim, i że da się to udowodnić dys-
ponując wiedzą i giętkością umysłu. Demonstrowali
metodę przy pomocy długiej metalowej szpili. Prze-
bijali nią kilkanaście przypadkowych stron w dowol-
nym miejscu, otwierali księgę i ukazywali związek
między przekłutymi słowami. Popisywali się bystro-
ścią i elokwencją, która budziła w Lurii gniew i po-
gardę. Studiujecie Torę ku własnej, nie Bożej chwa-
le, przestrzegał. Bójcie się, że będziecie mądrzejsi niż
pobożni!

Synagoga - ciąg dalszy. Podwójność

W walce z pilpulem (tak nazywała się owa metoda - od hebrajskiego słowa „pieprz”) wspierał Luriego ówczesny rabin Pragi. Był nim człowiek, który ulepił z gliny i powołał do życia Golema. Kiedy twór zagroził ludziom, odesłał go na strych synagogi i Golem zniknął. Wiele lat później oficer gestapo zechce obejrzeć ślad po Golemie, wejdzie na strych i też zniknie. Wiele lat później, w praskiej synagodze, podczas codziennego porannego nabożeństwa, psalm sto czterdziesty piąty będą odmawiali dwukrotnie. W tym czasie umyślny uda się na górę, sprawdzi czy Golem nie ożył, wróci i zawiadomi obecnych, że strych jest pusty.

Jehuda ben Becalel, praski rabin, sprzymierzeniec Lurii, wytłumaczył światu dlaczego pierwszą literą pierwszego słowa Tory jest bet, druga litera alfabetu hebrajskiego. Odpowiada jej cyfra 2. Bóg mógł zacząć księgę od każdej litery, a wybrał bet. Dlaczego? zastanawiał się Becalel i znalazł odpowiedź. Ponieważ wszystko trzeba rozumieć podwójnie. Każda rzecz jest tym, co widać na powierzchni zdarzeń, ale i czymś jeszcze, ukrytym, zagadkowym i niejasnym.

Synagoga - ciąg dalszy. Droga

Niestemplowi mieszkańcy kamienicy spędzili w synagodze Maharszala resztę nocy. Modlili się, uspokajali dzieci. Zapadali w drzemkę. Ktoś sięgnął do szafy bibliotecznej i czytał półgłosem.

Estera i Emma, mieszkanki drugiego piętra, rozmawiały o swoim rodzeństwie: dobrze dla nich czy źle, że nie są w synagodze razem z nimi. (Obaj bracia Fiszmanowie, ogrodnicy Józef i Abram, a także Maria, najmłodsza z sióstr, mieli dobre pieczętki i mogli pozostać w getcie.)

Robotnik szewski z trzeciego piętra, Moszek Holeman, nie musiał zastanawiać się - dobrze dla kogoś czy źle... Rodzice Moszka, jego żona, jego jedyny syn i jego brat byli w synagodze. Wszyscy. Nie brakowało nikogo.

W komplecie byli Kipmanowie z pierwszego piętra, z rodziny znanej w mieście od wielu lat. Jakub Kipman, ich dziadek, ojciec i teść kierował na przełomie wieków dużym bankiem. Mieszkał w najlepszej dzielnicy. Nie chodził piechotą, jeździł dorożką, wynajętą, tą samą zawsze i z tym samym woźnicą. Przyjaźnił się z Markiem Arnsztajnem - obaj prowadzili działalność dobroczynną i oświatową, i obaj kandydowali któregoś roku, przed pierwszą wojną,

do zarządu gminy. Żadnego nie wybrano. Religijni Żydzi napisali przed wyborami list do rosyjskiego gubernatora. W naszym mieście, pisali, jest sekta postępowców, którzy chcieliby rządzić, chociaż każdy wie, a już jego światłość - jewo sijatielstwo - wie najlepiej, że ufać można tylko ludziom pobożnym. Obcieli swoje chałaty i chcą być, a to doktorem, a to dyrektorem banku - precyzyjnie informowali gubernatora religijni Żydzi, którym można ufać... Jakub Kipman umarł. Bank zbankrutował. Rodzina zrezygnowała z dorożki i wynajęła mniejsze mieszkanie, w kamienicy Arnsztajnow.

Wysiedlono ich razem z żydowskimi sąsiadami.

Nieśli fotografie, lichtarze, pościel, ulubioną lalkę wnuczki Jakuba Kipmana...

Poprowadzono ich do wielkiej synagogi.

Kazano czekać.

O świcie ruszyli w dalszą drogę.

Nieśli...

Zobaczyli przed sobą budynek rzeźni.

Mięso

Rzeźnię otaczał fabryczny mur. Między murem i halą były tory kolejowe. W hali zabijano i ćwiartowano zwierzęta, torami odjeżdżały towarowe wagony. Nad ranem odjeżdżały z ludźmi do komór gazowych. W dzień - z mięsem na front.

Rzeźnia pracowała nieprzerwanie i Żydzi, którym udało się nie wsiąść do wagonów próbowali ukryć się między zabijanymi zwierzętami. Spędzali tam po kilka godzin, czasami cały dzień i całą noc. Zakład był humanitarny, nowoczesny, zbudowany dzięki amerykańskiej pożyczce. Zwierzęta ogłuszano strzałem z pistoletu; nabój trafiał w miejsce przecięcia dwóch linii; biegły od oczu w dół, na ukos, w pobliże szyi. Nieprzytomne zwierzę wieszano za nogi, jego głowa była na wysokości człowieka z nożem. Z przeciętego gardła spływała do kadzi krew, co znaczyło, że serce pracuje normalnie. Po wyjęciu serca, wątroby, nerek i płuc tusze wieszano w chłodni. Co dwa dni do rzeźni przychodzili Niemcy. Wiedzieli, że chronią się tutaj Żydzi. Szukali ich wśród jeszcze żywych zwierząt, potem wśród zabijanych, potem w chłodniach z tuszami, potem na ciężarówkach wyjeżdżających z zakładu na rampę. Przebijali mięso długimi metalowy-

mi ostrzami. Ludzi znalezionych w mięsie prowadzili do wagonów.

Kamienica - ciąg dalszy. „Kolego, wstań... ”

Stemplowi mieszkańcy kamienicy, którzy mieli pracę i dobre pieczętki, otrzymali niebawem nowe auswajsy, jeszcze lepsze i prawo pobytu w nowym, lepszym getcie.

W przyszłych archiwach zachowa się spis czterech tysięcy szczęśliwców: posiadaczy nowych auswajsów, jeszcze lepszych. I zachowa się jeden jedyny auswajs. Z czarną dobitną literą J pośrodku czarnej Gwiazdy Dawida. Należał - ten jedyny zachowany egzemplarz - do Lezera Barencholca, technika dentystycznego, lat dwadzieścia, mieszkańca kamienicy.

W spisie szczęśliwców niektóre nazwiska przekreślono, a z boku dopisano skrót dwóch niemieckich słów. Znaczyły: wysiedlony przez policję bezpieczeństwa. Znaczyły: wysiedlony do Piask, stamtąd do Sobiboru i Bełżca.

Selekcja miała miejsce latem. Było gorąco. Ludziom kazano uklęknąć, a potem położyć się na zie-

mi. Leżeli w kurzu, w słońcu, przez kilka godzin. Niemcom towarzyszył Żyd, nazwiskiem Grajer. Trzymał w ręku pejcz, jak SS-mani. Od czasu do czasu wskazywał osobę, którą należy wysiedlić. Dotykał pejczem ramienia i wygłaszał po żydowsku jedno zdanie, to samo za każdym razem: kolego, wstań, dosyć się już nażyłeś.

Mówił spokojnym, cichym głosem, jakby to była prośba, rada, albo perswazja: kolego wstań...

Szama Grajer był przed wojną fryzjerem i miał dom publiczny. Pracowały w nim żydowskie kobiety, których mężowie pojechali do Ameryki i zamilkli. Nie były wdowami, nie były rozwiedzione, nie mogły wyjść za mąż i nie miały z czego żyć. U Grajera zbierały na bilet: wybierały się za ocean. Skazano go za sutenerstwo. Wyrok odsiadywał na Zamku. Kiedy zaczęła się wojna i Niemcy zajęli Zamek, pierwsze kroki skierowali do więziennego fryzjera. Golił ich, a także informował kto za co siedzi, kto pisze grypsy i gdzie można znaleźć panienkę do towarzystwa.

Wyszedł z więzienia. Otworzył restaurację. Pomalował drzwi wejściowe na ostry, czerwony kolor; zatrudnił muzyków, najlepszych w getcie; zawiadomił Żydów, że omijanie lokalu nie skończy się dla nich dobrze; Niemców - że są jego miłymi gośćmi.

Stał się niezastąpionym doradcą gestapowców. Donosił, denuncjował. Przychodził z łupami. Pieniądze i kosztowności zabierał Żydom: załatwiał za okup dobry auswajs albo zwolnienie z selekcji. Ludziom, którzy nie mogli płacić, załatwiał obóz.

Polubił nowe wcielenie.

Przystawał w czerwonych drzwiach restauracji.

Przysłuchiwał się swojej orkiestrze - na życzenie Niemców grała jazz i muzykę swingującą.

Przyglądał się przechodniom. Surowo, kiedy mijali go bez oznak szacunku. Z dobrotliwym uśmiechem, kiedy się bojaźliwie kłaniali.

Zakochał się. Zapragnął poślubić siedemnastoletnią Minę, bardzo piękną, córkę kantora. Zona odmówiła rozwodu, więc poszedł do rabina z gestapowcem. Rozwód otrzymał, byłą żonę posłał na Majdanek. Pannę młodą niemieccy oficerowie obdarowali bukietem białych róż i nazwali królową Żydów. Żydowską królową, jej małżonka i większość gości weselnych zastrzelili w jednym z podwórek, ostatniego dnia istnienia lepszego getta.

Kamienica - ciąg dalszy. Rywcia Winograd

Wśród posiadaczy nowych auswajsów była Ryw-
cia Winograd, mieszkanka trzeciego piętra.

Miała numer 245.

Jej nazwisko przekreślono w spisie równą, pedan-
tyczną kreską; człowiek, który sporządził listę, uży-
wał najwidoczniej linijki.

Obok nazwiska, z prawej strony, dopisano skrót
słów - wysiedlona przez policję bezpieczeństwa. Wy-
słano ją do Piask, stamtąd do Sobiboru.

Tyle wiadomo.

I jeszcze - że klęczała na ziemi, na placu, ze swo-
im mężem, Mejlechem, subiektem bez zajęcia, który
miał numer 244, i ze swoim synem Samusiem, który
urodził się bez paznokci.

Zatrzymały się przy nich czyjeś kroki.

Zobaczyła przed sobą, na ziemi, niewyraźny cień.

Ktoś dotknął pejczem jej ramienia.

Spokojnym, cichym głosem powiedział: koleżan-
ko, wstań, dosyć się już nażyłaś.

S z a ł a s

Kiedy Abraham, cadyk z Turzyska, był małym chłopcem, jego ojciec, Mordechaj, cadyk z Czarnobyła, zaprzągnął konia i kazał synowi wejść na stary, drabiniasty wóz. Jechali kilka godzin. Zatrzymali się w lesie. Zobaczyli szałas. Stał na polanie, wśród drzew. Mordechaj kazał synowi potrzymać lejce i sam wszedł do środka. Długo nie było go, wreszcie wrócił - z obcym, smutnym, zamyślonym mężczyzną. Czy jesteś pewny? spytał obcy. Czy to właśnie masz mi do powiedzenia? Tak, szepnął ojciec, pewny jestem. .. Objął tamtego ramionami i obaj wybuchnęli głośnym, żalonym płaczem. Na koniec pożegnali się i Mordechaj z Czarnobyła usiadł koło syna. Wracali w milczeniu. Kiedy zobaczyli z daleka swój dom, chłopiec spytał: ojczy, kim był ten człowiek? Mesjaszem, odparł Mordechaj. To Mesjasz, syn Dawida. Chciał wiedzieć, czy już czas na niego, czy może przyjść. Musiałem wyznać mu straszną prawdę: nikt na niego tutaj nie czeka...

Mosze Mordechaj, ostatni rabin Turzyska, wnuk Abrahama, prawnuk Mordechaja z Czarnobyła, jechał ciężarowym samochodem. Przed nim i za nim jechały inne samochody. Wiozły Żydów, którzy byli niestemplowi. Którzy mieli pieczątki, ale nie dosyć

dobrze. Którzy nie mieli dobrych auswajsów. Którzy mieli auswajsy, ale ktoś dotknął pejczem ich ramienia...

Samochody zatrzymały się. Poprowadzono ich w głąb lasu. Zobaczyli rozległą polanę. Pośrodku był głęboki, prostokątny dół z przerzuconą deską. Dookoła stali Niemcy z automatami. SS-man dał znak i Żydzi zaczęli się rozbierać. Mosze Mordechaj zdjął surdut i położył na trawie. Zdjął białą kamizelkę z frędzlami cicit, które wiążą człowieka z Bogiem i chronią przed demonami... Wszedł na deskę, z książką do nabożeństwa przyciśniętą do piersi. SS-man dał znak, Mosze Mordechaj cofnął się, ucałował książkę i położył na stosie innych modlitewników. Wrócił na deskę.

Tyle wiadomo.

I jeszcze - że modlił się.

'I że po wielu latach przyjadą na polanę chasydzi z dalekiego świata. Słowo Krępiecki jest dla nich za trudne. Podobnie jak słowo Turzysko, o swoim mistrzu będą więc mówili - Trisker.

Wysłuchają informacji przewodnika: był dół, była deska, był ruszt ułożony z szyn kolejowych, pod rusztem było drewno, na ruszcie leżały zwłoki oblane benzyną i smołą, nad lasem unosiły się płomienie i dym.

Pomodlą się.

Powierzą Triskerowi swoje prośby spisane na kartkach.

Zachwycą się światłem, które przesącza się między brzożami.

Powiedzą, że w kwietniu, za rok, przyjadą znowu.

Jeśli nawet wspomną Abrahama z Turzyska, który zobaczył na polanie szałas, nie przyjdzie im do głowy, że Mesjasz mógł czekać w czymś takim jak Las Krępiecki.

Trzecie piętro. Lilje

Córka Meira Reichgolda, agenta ubezpieczeń, była zaradna, ładna, a świadomość że jest prawdziwą blondynką napełniała ją pewnością siebie i zrozumiałą dumą.

Od kilku dni miała pod opieką siostrzenicę. Dziewczynka nie była, niestety, podobna do córki Meira R. Miała duże, czarne, zezowate oczy, czarne kudłate włosy i chroniczną biegunkę. Córka Meira bardzo musiała się naprosić i nauśmiechać swoimi niewinnymi, błękitnymi oczami nim właścicielka wili zgodziła się wynająć im pokój.

(Było to po wysiedleniu z kamienicy, po ucieczce z getta i paru rozmowach ze szmalcownikiem.

Dziewczynka już wiedziała, że przynosi ze sobą strach. Było jej szczerze żal wszystkich tych dobrych ludzi, którzy wpuszczali ją do swoich domów. Rozumiała, że nie mogą jej lubić. Jak można lubić dziecko, które przynosi strach? Rozumiała, że nie mają ochoty rozmawiać z nią, bawić się, ani nawet na nią patrzeć. Była zaprzyjaźniona z samotnością i nudą.)

Willa stała w ogrodzie; piętrowa, z werandą, typowy letniskowy dom niedaleko Warszawy..

Miejscowość nazywała się - Radość.

Ogród przylegał do ulicy.

Za ulicą ciągnęły się tory kolejowe.

Przed domem stała figura: Święty Antoni z Padwy z Dzieciątkiem Jezus.

Któregoś letniego dnia czterdziestego drugiego roku córka Meira R. i jej siostrzenica usłyszały nieznaną odgłos. Dochodził zza okna. Jakby monotonne szurgotanie, jakby kroki wielu nóg, które nie zbliżały się i nie oddalały.

Córka Meira R. wyrzała, szybko cofnęła się i zasunęła firankę. Nie podchodź! krzyknęła. Nie ruszaj się!

Rozejrzała się po pokoju.

Jedną ręką kurczowo trzymała dziecko, drugą sięgnęła po książkę. Była to jedyna książka jaką za-

brała ze sobą z kamienicy. Znalazła najdłuższy wiersz - będzie ciekawy, zapowiedziała, przeczytam ci, a ty się nie ruszaj... Zaczęła czytać. O pani, która zabiła pana, zasiewała liliję jego grób, zasiewając śpiewała... *Rośnij kwiecie wysoko*, nuciła, nie za głośno, córka Meira R., ale dziewczynka nasłuchiwała odgłosów za oknem. Mnie słuchaj, napominała córka Meira, tam nic się nie dzieje, ludzie sobie idą.

Do pani przyjechali bracia nieboszczyka, chcieli się z wdową żenić, rzecz stawała się zajmująca.

Z ulicy nie dolatywał żaden hałas. Świeciło słońce. Szli ludzie. Pani i jeden z braci brali ślub, gdy drzwi kościoła trzasły, zgasły świece, weszła osoba w bieli i patrzyła ukosem...

Przy słowach „osoba w bieli” córka Meira R. wyszarpnęła z łóżka prześcieradło i narzuciła sobie na głowę. Mała struchlała. Zachciało jej się do ubikacji. Klozet był na korytarzu. Teraz nie możesz wyjść, szepnęła spod prześcieradła córka Meira R., wysunęła nocnik i ustawiła najdalej od okna - jakby można go było dostrzec z ulicy. Mała już nie pamiętała o oknie. Trzęsła się ze strachu, ponieważ biała zjawa krzyczała podziemnym głosem: dalej na tamten świat!

{*Lilje* Adama Mickiewicza składają się z pięciu części. W pierwszej jest siedemdziesiąt osiem wierszy.

szy, które stanowią ekspozycję; dowiadujemy się z niej, że pani zabiła pana. W drugiej części - do wiersza sto trzydziestego ósmego - przyjeżdżają bracia zabitego, goszczą u pani przez całą trzecią część i obaj wyznają jej miłość. W dalszych dziewięćdziesięciu siedmiu wierszach pustelnik daje radę zbrodniarce: ma wybrać jeden z wieńców uwitych przez braci. W akcie piątym i ostatnim zbrodniarka wybiera lilje wołając przy tym - kto mój mąż, kto kochanek?! Po tych słowach los dopełnia się ostatecznie. Gasną światła, pojawia się widmo, kara dosięga braci i morderczynię.

Główną postacią jest Pani - niewierna, piękna, młoda. Nieboszczyk chodzi nocami po zamku i straszy ogniem, iskrami i nożem. Trup ten nie jest narzędziem losu. Przeciwnie. Wyroki nieba są na jego usługach.

W balladzie nie ma barw, dźwięki i szmery są onomatopieczne.

Przeważają zdania krótkie.

Rzeczowniki stanowią trzydzieści procent użytych słów.

Trzy wiersze są czterozgłoskowe, dwa - ośmierzgłoskowe, trzy - dziewięćzgłoskowe, trzydzieści trzy - sześćzgłoskowe; resztę, ponad trzysta wierszy, stanowią siedmierzgłoskowce.

Rym łączy wiersze całkowite z całkowitymi i katalektyczne z katalektycznymi.

Dużo jest rymów gramatycznych, co wynika ze świadomego naśladowania formy ludowej.)

[Według pracy Józefa Czechowicza - *Lilje Adama Mickiewicza*, wydanej przez Biblioteczkę Słuchaczy Państwowego Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Lublinie No 3, 1925.]

Wiele lat później, z pięćdziesiąt, albo i więcej, córka Meira R. i jej siostrzenica dowiedzą się paru szczegółów.

Ze ludzie szli w czwartek, dwudziestego sierpnia.

Ze mijając willę ze Świętym Antonim mieli za sobą ponad połowę drogi.

Ze na początku drogi był lament kobiet, płacz dzieci, strzały i krzyki żandarmów, ale koło południa wszystko ucichło. Szli teraz wzdłuż torów, po prawej stronie, w milczeniu, w upale, w oślepiającym słońcu.

Ze doszli do rampy kolejowej.

Ze załadowano ich do wagonów...

W milczeniu, to prawda, przyświadczą córka Meira R. i jej siostrzenica.

Po prawej stronie, zgadza się. Z pociągu jadącego na wschód widać było Świętego Antoniego zawsze po prawej.

We czwartek... Tego nie pamiętały. Więc to było we czwartek, powtórzą, jak gdyby wiadomość miała dla nich specjalne znaczenie.

Co wtedy myślałaś? spyta siostrzenica, mimo, że będzie się na ogół wystrzegą głupich pytań.

Córka Meira - od dawna, od bardzo dawna na lekach psychotropowych (thioridazina, stelazina, rispolept, olanzapina, trzy razy po tabletkę w ciągu dnia, relanium w zasadzie na noc, ale w nasilonych stanach lękowych można i w dzień) - córka Meira Reichgolda spróbuje sobie przypomnieć co myślała.

Nic nie myślałam. Idą ludzie. To idą, ich sprawa. Moją sprawą było trzymać cię od nich jak najdalej.

Franciszka Arnsztajnowa. Decyzja

Znajome pisarki znalazły schronienie pod Warszawą - bezpieczne i całkiem wygodne. Może pani tam mieszkać do końca wojny, zapewniły Franciszkę Arnsztajnowa, ale F A. powiedziała, że podjęła inną decyzję. Pójdzie do getta.

Przyjaciółka (prowadziła w Zakopanem pensjonat „Albion”, w którym F A. często bywała), spytała - dlaczego do getta.

Zęby być ze wszystkimi, wyjaśniła Franciszka Arnsztajnowa.

Przyjaciółka odwiedziła ją w getcie, po wojnie rozmawiała z ludźmi, którzy mogli coś wiedzieć.

Opowiedziała wnuczce, że F. A. miała ze sobą odświętną, czarną długą suknię. Miała tubę. Miała Dantego *Boską komedię* i swoje wiersze. Rzeczy te trzymała w skórzanej, zniszczonej torbie, jaką kiedyś nosiły położne.

Wnuczka zastanawiała się, o którą suknię chodzi. Wszystkie suknie jej babki były długie i czarne, ale jedną ozdobił atłasowy kołnierz. Wnuczka domyśliła się, że tę właśnie uznała F. A. za odświętną.

Była w szpitalu, dowiedziała się przyjaciółka.

Podobno umarła na tyfus.

Podobno wyzdrowiała.

Podobno wyjęła zaszyty w poduszce Krzyż Polonia Restituta.

Przypięła Krzyż.

Podobno powiedziała: strzelajcie.

Niemcy strzelali do pacjentów w 1943 roku, między osiemnastym i dwudziestym pierwszym stycznia.

Szpital, ostatni w warszawskim getcie, mieścił się przy ulicy Gęsiej 6/8. Zgromadzono w nim pielęgniarki i lekarzy ocalałych po likwidacji wszystkich innych żydowskich szpitali. Najwięcej chorych było

na oddziale zakaźnym (panował tyfus) i na chirurgii (rany postrzałowe).

W łózkach leżało po dwóch, trzech pacjentów. Byli wychudzeni, wycieńczeni, samotni.

W jednym z łóżek mogła leżeć Franciszka Arnsztajnowa.

Czy miała suknię przy sobie?

Znaczyłoby to, że nie ukradli jej kiedy chorowała, że jej nie sprzedała i nie wymieniła na chleb.

Polonię Restitutę mogła mieć, krzyż był zrobiony ze złoczonego tombaku (w pracowni Gontarczyka, na Miodowej) i nie przedstawiał rynkowej wartości.

A jeśli nawet miała suknię - czy zdążyła ją nałożyć?

Niemcy weszli do szpitala wczesnym rankiem. Nikt nie spodziewał się, że wejdą tego dnia. W aryjskiej części Warszawy trwały łapanki i wywożono ludzi na roboty do Niemiec. Żydzi przypuszczali, że Niemcy, zajęci Polakami, nie przystąpią do kolejnej akcji przesiedleńczej.

Akcja rozpoczęła się w poniedziałek.

Lżej chorych SS-mani pognali na Umschlagplatz, pozostałych zabili na miejscu. Podchodzili do łóżek i strzelali z rewolwerów.

Garstka lekarzy i pacjentów ukryła się w schronie. Znalezione ich we wtorek i środę, i popędzono do wagonów.

Czy Franciszka Arnsztajnowa - słaba po tyfusie, zdołała podnieść się z łóżka? „Strzelajcie" chciała powiedzieć na stojąco...

Mogło się to rozegrać wcześniej - w lipcu lub sierpniu 1942, podczas akcji przesiedleńczej zwanej wielką.

Każdy dzień akcji zaczynał się o świcie: do siedziby SS przychodzili oficerowie żydowskiej policji i dostawali zalakowaną kopertę. W środku była kartka z adresami.

Po szóstej zamykano bramy wyznaczonych domów. Domy były wielopiętrowe, często bez wind. Sprowadzano po schodach starców. Znoszono dzieci. Na podwórzu Niemcy sprawdzali dokumenty, zwalniali przede wszystkim grabarzy i furmanów.

Trwało to półtorej, dwie godziny.

F. A. miała dość czasu, żeby się ubrać.

Nie wyjęła tuby.

Otaczała ją cisza.

Nie słyszała krzyków - „Wszyscy na dół!" ani „Juden raus!"

Nie słyszała tupotu nóg na schodach, łoskotu wyważanych drzwi, płaczu ani strzałów.

Nie zamierzała schodzić.

Nie próbowała schować się.

Próbowała się modlić.

*Boże mych ojców, wielki Boże Izraela,
Ty, coś mię ongi wyrwał z rąk nieprzyjaciela...*

- powiedziała półgłosem, ale nie pamiętała dalszego ciągu.

... - skąd ten chór boleści

Kto ów lud taką snadź rozpaczą zdjęty?

- zaczęła ale zabrzmiało sztucznie: wiedziała skąd boleść i kto ów lud.

Od paru dni kołatały jej się po głowie słowa - wciąż te same, które nie były modlitwą ani Dantem:

*jedno to jest od wieków
głód zagłada i ty
jedno to jest od wieków
głód zagłada i ty
jedno to jest od wieków...*

Nie usłyszała kroków.

Zobaczyła, że drzwi otwierają się z impetem.

Podniosła się z krzesła.

Schiessen Sie, powiedziała nienagannym akcentem, bo studiowała w Magdeburgu nauki przyrodnicze.

Tak mogło to wyglądać.

Mogło się też zdarzyć zupełnie inaczej.

O żonie Meira R., agenta
asekuracji (staruszcze)

„Latem, w pogodę, tatuś był kelnerem w ogródkowych kawiarniach. Zimą, jesienią i w niepogodę siedział w domu i układał pasjansę.

Brat, chociaż dorosły, też siedział w domu, bo przy porodzie zgnetli mu kleszczami mózg. Rysował pociągi. Kiedy pociąg miał już wagony, lokomotywę i kłębę pary, brat wołał fu-fu, fu-fu i zabierał się za następny pociąg.

Mama też siedziała w domu, bo była chorowita i z chorób zapominała o różnych rzeczach, na przykład o mnie. Stałyśmy przed Ogrodem Saskim, patrzyłyśmy na lód - nie miałam butów ani łyżew, ale lubiłam patrzeć przez ogrodzenie jak dzieci się ślizgają - rozejrzałam się - mojej mamy nie było. Zostawiła mnie przy Ogrodzie i poszła do domu. Zapomniała, że jestem.

Na naszym korytarzu było sześć mieszkań. Pięć miało jedną izbę - bez ubikacji i wody, z małym oknem i kuchenką węglową na dwie fajerki; szóste, krawca Zalewskiego, miało pokój i kuchnię. Kiedy Żydzi z naszego domu, z Siennej dziewięćdziesiąt, poszli do getta, krawiec Zalewski przeniósł się do

frontowego, pożydowskiego mieszkania, a my zajęliśmy mieszkanie po krawcu Zalewskim.

Wojna niewiele zmieniała w moim życiu - tatuś siedział przy pasjansach, brat przy pociągach, ja nosiłam zupy z kuchni dobroczynnej i zbierałam po mieszkaniach obierki, tyle, że zjawiła się staruszka. Nie wiem skąd wzięła się. Jak przyszłam ze szkoły, siedziała na stołeczku - w szarej spódnicy, szarym sweterku, szarym koczku na czubku głowy - i robiła na drutach. Uśmiechnęła się do mnie. Mam wnuczkę w twoim wieku..., zaczęła, ale moja mama szybko położyła palec na ustach. Domyśliłam się dlaczego: staruszka mówiła tak jak mówili Żydzi z naszego domu.

Od tej pory siedziała cichutko, spokojna, uśmiechnięta, jakby nic szczególnego z nią się nie działo. Przyglądała się pasjansom tatusia i rysunkom brata, a kiedy pociąg miał wszystkie wagony, lokomotywę i kłęby pary mówiła razem z bratem: fu-fu, fu-fu, fu-fu... Tyle mogła mówić. Przy fu-fu nie miała żydowskiego akcentu.

Przybyło mi roboty. Więcej obierek zbierałam, żeby dostać od kobiety z krową, na Żelaznej, trochę mleka. Więcej wody przynosiłam ze wspólnego kranu. Wynosiłam wiadra do ubikacji na korytarzu, bo staruszka załatwiała się w mieszkaniu...

Tatusia zgarnęli w łapance i nie wrócił z obozu.

Brat zebrał pod gettem i wzięli go za Żyda.

Mama pojechała na działkę ukopać kartofli; trafiła ją zbłąkana kula, bo trwało powstanie warszawskie.

Pani Karwowska, która w trzecim podwórku miała stajnie, zaczęła zabijać konie i rozdawać ludziom mięso. Poszłam do niej po trochę koninki, jak wróciłam, staruszki w domu już nie było. Po wojnie ktoś powiedział, że umarła w piwnicy, w schronie, z głodu albo ze zmęczenia. Albo po prostu. Pochowano ją pod kapliczką z figurą Matki Boskiej, na naszym podwórku, na Siennej dziewięćdziesiąt."

Trzecie piętro. Córka

Wprowadzili się do jednego z mieszkań na trzecim piętrze podczas wojny, kilka dni po wysiedleniu Żydów. Rodzice zajęli salon, córka — sypialnię, pokój bez okien i bez elektryczności.

Każdego ranka matka stawiała w drzwiach z lampą naftową. Trzymała ją wysoko nad głową, płomień kołysał się na ścianach, już dzień, mówiła, bo w pokoju bez okien dzień nie stawał się sam z siebie,

trzeba go było zaanonsować. Spóźnisz się do szkoły, napominała matka i zostawiała lampę na stoliku.

Któregoś ranka... Po wojnie już, ale to szczególnie bez znaczenia; jej życie nie dzieliło się na po i przed wojną. Któregoś ranka do pokoju bez okien wszedł ojciec. Stał w ciemnościach. Powiedział: mama umarła.

Już dzień? spytała, jakby chciała mu przypomnieć o rytuale, którego zaniedbał.

Mama umarła, powtórzył. Czy zrozumiałaś mnie?

Poprosiła, żeby przyniósł światło. Nie wstając przyglądała się płomieniom na ścianach. Spóźnię się do szkoły, powiedziała, czepiając się resztek świata, który właśnie się kończył.

To się spóźnisz, powiedział ojciec.

Wyjechał po pogrzebie. Zabrał ze sobą fotele, szafę i stół więc domyśliła się, że wyjeżdża na zawsze.

Tęskniła za nim. Był najprzystojniejszy ze znanych jej ojców. Miał najładniejszy głos, po pracy w magistracie śpiewał basem w chórze „Echo”. Malował najładniejsze obrazki - konie w biegu i domy w kwiatkach. Najmądrzejsze książki czytał...

Po roku spakowała walizkę i zawiadomiła babcię, że wyjeżdża na zawsze.

Wysiadła w Warszawie. Ojciec czekał na peronie, w domu ojca czekała obca, bardzo ładna pani.

Wróciła do babci po dwóch tygodniach.

Miała trzynaście lat, kiedy wróciła, pięćdziesiąt dwa lata kiedy zobaczyła go ponownie. (Przysłał list, pierwszy od pogrzebu matki. Miał syna, który już się ożenił, druga żona niedawno umarła, czuł się samotny, w *Post Scriptum* napisał: „przyjedź, proszę cię”.)

W pociągu próbowała liczyć. Pięćdziesiąt dwa minus trzynaście...

Zdziwiła się.

Sprawdziła dodając: trzynaście plus trzydzieści dziewięć...

Liczyła przez całą drogę, za każdym razem wychodziło tak samo.

Drzwi otworzył jej wysoki, obcy starzec.

Zosia? szepnął.

Zosia to moja mama, powiedziała. Ja jestem Dorota.

Prawda, zgodził się.

Moja mama nigdy nie miała pięćdziesięciu dwóch lat.

Pięćdziesiąt dwa... - powtórzył zdumiony.

Zadawał jej pytania:

Kiedy umarła babcia?

Dawno wyszłaś za męża?

Ilu masz synów?

O, i wnuka masz?

Ona też pytała. Malujesz? Śpiewasz? Czytasz książki?

Syn, który przyszedł z wizytą, zwracał się do niej przez „pani”. To twoja siostra, upominała go żona, ale wychodząc powiedział: miło mi było panią poznać.

Kolejna, trzecia macocha była od niej dużo młodszą.

Listem zawiadomiła o pogrzebie, wytłumaczyła jak się jedzie na cmentarz, załączyła nawet odręczny rysunek.

Nie pojechała na pogrzeb.

Nie była na cmentarzu.

Z listu trzeciej macochy dowiedziała się, że chorował na raka, że cierpiał, z bólu gryzł sobie ręce do krwi, pogryzł je aż po łokcie.

Pomyślała: za mnie, za karę.

Przestraszyła się.

Poszła do katedry. Przed cudownym obrazem prosiła Matkę Płaczącą, żeby odsunęła od niej podobne myśli.

Wyznała synowi, że nie czuje współczucia.

Syn poradził jej, żeby zamknęła drzwi do pokoju bez okien raz na zawsze.

Meble, które ojciec ze sobą zabrał - stół, szafa i fotele - były z kamienicy, z żydowskiego mieszkania, zostały u trzeciej żony.

Drugie piętro. Kwiaty

Wprowadziły się do jednego z pokoi w dawnym mieszkaniu Jana Arnsztajna.

Były we dwie - matka i córka. Matka robiła ze smalcu krem do rąk, córka kładła go do małych, drewnianych pudełeczek i sprzedawała na targu.

Któregoś roku wszystkim lokatorom kazano przenieść się do bloków; w kamienicy zaczynał się remont.

Matka i córka zamieszkały na osiedlu zbudowanym z betonowych płyt. Matka nadal robiła krem ze smalcu, nieapetyczny, pachnący starością, ale córka chodziła z nim na targ i ludzie kupowali.

Na klatce schodowej gęstniał zapach blokowiska: stęchlizny piwnic, wyziewów kuchennych, kocich szczyn, grzyba na ścianach i ciężkich, skacowanych oddechów.

Matka umarła w mieszkaniu.

Umarła - i nic.

Jednego dnia - nic. Drugiego - nic. Trzeciego dnia sąsiadka zza ściany spytała co z pogrzebem.

Na razie mamusi nie będziemy chować, bo nie mamy za co, odpowiedziała córka.

Sąsiadka zza ściany zaniepokoiła się i zauważyła, że niezdrowo żyć razem z trupem, dla córki niezdro-

wo, dla lokatorów z klatki schodowej i dla całego bloku.

Córka zapewniła, że nie muszą się martwić, bo ona otworzyła okno i rozpuściła w wodzie witaminy. Jest świeże powietrze, a witaminy wlewa mamusi do ust, proszę im powiedzieć, że czynię wszystko, uspokajała, ale sąsiedzi zaniepokoiili się jeszcze bardziej. Jej nie o pieniądze chodzi, ona czyni wszystko, żeby matka ożyła, domyślili się i zebrali na pogrzeb. Trochę dołożył ksiądz i piątego dnia pojechali trolejbussem na cmentarz, cała klatka schodowa.

Córka pojechała karawanem - z trumną i dwiema ciężkimi torbami, w których coś brzęczało.

Po Wiecznym Odpoczywaniu otworzyła torby i sąsiedzi zobaczyli co brzęczy: słoiki i butelki, wszystkie z wodą. Zdjęła nakrętki ze słoików, z butelek wyjęła korki, poustawiała na grobie - i zaczęła czekać.

Na kwiaty czekała.

Sąsiedzi też czekali, chociaż widzieli jak jest: kwiatów nie ma. Ani jednego. A słoiki i butelki stoją na grobie, wszystkie z wodą.

Córka była odwrócona plecami do ludzi i nie ruszała się. Jakby nie słyszała szeptów ani kroków. Może naprawdę nie słyszała, bo ludzie starali się odchodzić jak najciszej.

Wracali trolejbussem.

Ktoś powiedział: dałem na pogrzeb, to jakbym kwiaty kupił, i wszyscy mu przytaknęli.

Pogrzeb pogrzebem ale po jednym kwiatku można było, powiedział inny, i też przytaknęli.

A jak szła, jak jej w torbach tak brzęk, brzęk, to nawet zastanawiałam się co jest, że brzęczy, powiedziała sąsiadka zza. ściany.

Po jednym można było, no niechby po jednym...

Córka wróciła wieczorem.

Nasłuchiwali.

Brzeczzenia nie było, tylko klucz zgrzytnął.

Na drugi dzień dorobiła zasuwkę i założyła łańcuch.

Nikogo nie wpuściła do środka, nikogo, nigdy, przez dwadzieścia pięć lat.

P a m i ę ć

(Parę rzeczy mieszkańcy kamienicy zapamiętali na resztę życia. Na przykład, że:

na półpiętrze było duże, witrażowe okno z niebiesko-zielonego szkła, a balkony wyglądały jak drewniane krużganki i wychodziły na podwórko...

z balkonów widzieli mur - wysoki, z czerwonej cegły, z jednym jedynym oknem na samej górze; paliło się w nim światło, dzień i noc...

drewniane drzwi do piwnic otwierały się od poddmuchu bomb i trzeba je było przytrzymywać od wewnątrz przez cały nalot...

brama też była drewniana, kiedy Niemcy walili w nią butami, łoskot rozchodził się po wszystkich piętrach...

*Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana;
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju,
Grób liliją zasiewa...*

domy nad Morzem Kaspijskim lepiono z gliny i słomy zmieszanej z odchodami wielbłądów, podłogą było wyschnięte dno morskie; całe osiedle stało na wyschniętym dnie - na płaskiej, spękanej szarobrunatnej skorupie; podobny kolor miały wymioty chorych na cholere, których zwożono do miejscowego szpitala odkrytą ciężarówką...

kobiety z kamienicy piekły pączki, układały na blaszanych tacach, przykrywały serwetą i nosiły do pobliskiej cukierni...

z cukierni wyszedł radziecki żołnierz i strzelił do Lady, setera angielskiego w czarno-białe łaty, który na kogoś czekał uwiązany przy drzwiach...

z murów odpadał tynk, w witrażu brakowało szyby, orkiestra uliczna grała *Tango Milonga*, okno na pierwszym piętrze otworzyło się, wychyliła się dziewczynka i zrzuciła monetę, zawiniętą w papierek...

pomyślała, że dziewczynka jest w jej wieku i że w głębi mieszkania siedzi przy stole głucha kobieta w czarnej sukni...

otworzyło się okno na trzecim, potem na drugim piętrze, wyjrzeli ludzie, których nie widziała nigdy przedtem; słuchali orkiestry; przyglądali się jej mundurowi; pytali dlaczego stoi...

powiedziała: tak sobie...

krople wyglądały jak krew, ale to nie była krew, lekarz zbadał...)

Parter. Łzy

Pierwsza zobaczyła siostra zakonna, szarytka: na twarzy Matki Boskiej jest łza.

Poszła do zakrystii i powiedziała kościelnemu. Czerwona łąza, jak mała jagódka, ale może tylko kwiatek przykleił się do obrazu, może prymulka...

Drugi zobaczył kościelny: czerwona kropła płynęła po policzku ku bliznom.

Kiedy ksiądz przyszedł, ludzie już klęczeli przed obrazem, już wołali: Matko Najświętsza, ty płaczesz?

Było to trzeciego lipca 1949, wczesnym popołudniem. Przez cały dzień, przez następne dni i tygodnie do katedry ciągnęły tłumy.

Było gorąco. Od czasu do czasu ktoś słał - od upału, zmęczenia albo od emocji i wzywano pogotowie ratunkowe. Do niedawna mieściło się na ulicy Królewskiej. Gdyby było tam nadal, lekarz mógłby przyjść piechotą do katedry, ale przeniesiono je do siedziby Polskiego Czerwonego Krzyża i chorych wożono karetką. Kierowcą karetki był Stefan Czyż, mieszkaniec kamienicy (parter, wejście po dwóch schodkach naprzeciw bramy).

Wyglądają jak krew, ale to nie jest krew, lekarz zbadał w laboratorium. To nie jest woda z kropidła, chemicy zbadali. To nie przez wirusy ani bakterie. To nie farba z obrazu. To nie są łyzy ludzkie. To nie jest ludzka rzecz, to rzecz cudowna, opowiadał Stefan Cz. po powrocie z codziennego dyżuru.

Jeden widział łzy na policzku, a drugi ledwie ślad po łzach i to niepewny. Jednemu zrobiło się gorąco, włosami zatrzęsło i jakby prąd przeszedł, drugi nic nie poczuł. Jeden zobaczył jasność, drugi zwyczajne, codzienne światło. Nie każdy dostaje łaskę widzenia opowiadał Stefan Cz.

Dziewczynka po Heine zaczęła chodzić.

Dziecko ślepe od urodzenia przejrzało na oczy.

Mąż przyniósł kobietę na rękach, bezwładną, wyschniętą na wiór i ułożył przed obrazem. Pomodlił się i chciał ją znowu wziąć na ręce, ale kobieta stanęła na własnych nogach i poszła przez kościół. Ja chodzę, krzyczała, Matko Najświętsza, ja jestem zdrowa! Ludzie też krzyczeli, że cud. A inni - żeby nie krzyżeć, bo aresztują, opowiadał Stefan Cz.

Najpierw aresztowano szarytkę.

Potem kościelnego.

Potem księży.

Potem lekarza, który badał kroplę w laboratorium.

Potem kobietę przyniesioną na rękach oraz jej męża.

Potem ludzi, którzy krzyczeli, że cud...

Nazywano ich cudakami, osadzono na Zamku, w tych samych celach, które były za cara i za Niemców.

O piątej po południu rozlegało się stukanie; oddziałowi uderzali drewnianymi młotkami w drzwi cel, młotki też były te same. Więźniowie wychodzili na korytarz, zaczynał się wieczorny apel. Po apelu należało załatwiać się tylko w celach, do wiader; w czasach carskich nazywano te wiadra paraszami. Należało wystawić przed drzwi chodaki, miski, łyżki i inne przedmioty, którymi można ugodzić strażnika. Czasami nie gaszono świateł przez całą noc, znaczyło to, że będą przesłuchania. Podczas przesłuchań bito cudaków, kazano się czołgać, podskakiwać, stać na jednej nodze i straszono Sybirem.

Pewnego dnia drewniane młotki zastukały w południe.

Ogłoszono apel specjalny: z Warszawy przyjechał ważny człowiek.

Cudaki stanęły w dwuszeregu. Środkiem korytarza, w szpalerze więźniów, szedł ważny człowiek: mały, chudy, z czarnymi, gorejącymi oczami.

Jak Niemcy rozbijały głowy żydowskich dzieci o ścianę, to Matka Boska nie płakała, co? a jak ojczyzna jest wolna, to Matka Boska płacze, co? - krzyczał ważny człowiek.

Szedł szybko.

Zniknął w głębi korytarza.

Jeszcze przez chwilę słychać było jego głos - wysoki, histeryczny, nabrzmiały pretensją do Matki Boskiej.

Jak Niemcy rozbijały głowy żydowskich dzieci o ścianę, to nie płakała, co? a jak ojczyzna jest wolna...

Cudaki domyśliły się, że ważny człowiek jest Żydem.

Ulica

Jedno mieszkanie w kamienicy nie zmieniło lokatorów podczas wojny: dozorczyńi, Michaliny Sz.

Wkrótce po wojnie odwiedzili ją obcy ludzie, kobieta i mężczyzna. Byli Żydami i pytali o dawnych mieszkańców, czy wrócił ktoś.

Nikt nie wrócił, powiedziała. Jeden Żyd sprzedaje ryby niedaleko stąd, drugi naprawia parasole, ale żaden nie jest nasz, z kamienicy. Postali ci ludzie, jakby jeszcze czekali na kogoś - i poszli sobie.

Po nich przysła dziewczyna w mundurze. I ona stanęła na ulicy, ale nie pytała o nic. Patrzyła w okna, patrzyła i poszła sobie. I więcej już nikt nie przychodził.

W ciepłe wieczory ludzie wynosili z mieszkań taborety i krzesła. Siadali, każdy przed swoim domem...

Przed ósemką - muzyk, kiedy nie miał koncertu w filharmonii; przed siódemką - piekarz, kiedy już wstawił chleby do pieca (zapach szedł na całą Starówkę); przed dwójką - artystka, kiedy nie tańczyła i nie śpiewała w „Czarciej Łapie”; przed jedyneką - właściciel sklepu, kiedy wydobrzezał po napadzie (bracia Bukaty weszli do mieszkania po gzymsie i próbowali obrabować) i bracia Bukaty, kiedy akurat nie odsiadywali żadnego wyroku.

Wspominali. Żartowali. Żywi byli.

Współczuli pani Rybakiewicz po śmierci męża. (Pochował go syn Michaliny Sz. Pani Rybakiewicz dała mu po pogrzebie piękny, posrebrzany samowar. Proszę używać, mówiła, a popijając herbatę proszę nas dobrze wspominać...) Niestety, pani R. robiła się nerwowa. Krążyła po ulicach, to śmiejąc się na głos, to coś do siebie szepcząc, nieraz laską zamierzyła się, ale na swoim krzeselku była cicha i uprzejma dla każdego.

Pocieszali kierowcę Zenka, kiedy zasnął z zapalonym papierosem. Pierzyna zajęła się, Zenek przeżył, ale matka zaczadziła na śmierć. Nie mógł sobie tego darować. Przez rodzzonego syna, powtarzał z płaczem, tylko przeze mnie. Rozpaczał coraz głośniej

i zaczął pić. Wieczorem, napity, chciał wejść do domu przez balkon, spadł i leżał na podwórzu pod oknem państwa Czyżów. Pani Czyżowa przybiegła do Michaliny Sz.: z Budrysem jest źle, leży i okropnie charczę. (Po Lady, seterce angielskiej, którą zastrzelił ruski żołnierz, nastał na pierwszym piętrze Budrys, bernardyn.) Zapaliły świeczkę i dopiero zobaczyły kto leży. Pani Czyżowa chciała dzwonić po męża, który miał właśnie dyżur w pogotowiu ratunkowym, ale Michalina Sz. oświetliła głowę leżącego. Straszny był widok: mózg Zenka spływał po kamieniach.

Pocieszali panią Chmurową, kiedy mąż wracał do domu późnym wieczorem - jakie romanse, tłumaczyli, w pracy zasiedział się.

Smucili się, i to bardzo, gdy ubywało kogoś na taboretach.

Zenka ubyło.

Pani Chmurowa wyskoczyła z drugiego piętra.

Terenię znaleźli, dość raniutko, w samo Boże Ciało. Cała ulica już ubierała okna przed procesją i tylko jedno okno, za winkiem, było nieubierane, więc przynieśli drabinę... Zajrzeli... Zaraz szum. Pan Czyż zaraz ze swoją karetką, karawan, milicja, ale zdążyli Terenię zabrać nim procesja ruszyła od Dominikanów.

Zleciało to życie, aby tylko, zamyśli się syn Michaliny Sz. wiele lat później, ćwierć wieku po opuszczeniu kamienicy i zabierze się za robienie porządków.

Zdejmie z kredensu pamiątkowy samowar. Oczyszczy z kurzu, wypoleruje cyfry:

1899.

Rok, w którym miało miejsce kilka istotnych zdarzeń.

W mieście Tuła wyprodukowano samowar.

Urodziła się Michalina Sz.

Właściciel sklepu z towarami bławatnymi i norymberskimi Bernard Meyersohn kupił kamienicę i podarował zamężnej córce, Franciszce Arnsztajnowej.

Marek Arnsztajn, społeczny opiekun żydowskiej szkoły dla ubogich chłopców, napisał do gubernatora list: rosyjski kierownik bije uczniów. I drugi list, do gminy: dzieciom potrzebne są na zimę płaszcze i buty.

Kupiec Meyersohn ofiarował ubogim chłopcom sukno ze swojego sklepu i zapłacił krawcowi za szycie ciepłych ubrań.

Syn kupca Meyersohna, Emil Azriel, ukończył czterdzieści lat. (Drugie imię otrzymał po pradziadku, rabinie zwanym Żelazną Głową, bo patrząc na drzewo wiedział ile jest na nim liści.) Właśnie pracował nad artykułem dla pisma filozoficznego. Redak-

cja zamówiła go czas jakiś temu, więc Emil Azriel poszedł do biblioteki. Chciał wiedzieć co inni pisali na ten temat i zaczął czytać; czytał już osiem lat i był w połowie lektury. Od ukończenia w Heidelbergu studiów chemicznych mieszkał w Paryżu. W swoim laboratorium pracował nad sztucznym błękitem: pragnął uzyskać barwnik identyczny z prawdziwym. Może dlatego, że przed zburzeniem świątyni jerozolimskiej farbowano naturalnym błękitem frędzle w kamizelkach cicit, które nosili pod ubraniem pobożni Żydzi (nitki frędzli wiązały ich z Bogiem i chroniły przed demonami), a może z innych, przyziemnych powodów... Barwnik uzyskał, nawet zaczął wysyłać go w świat, ale nikt nie chciał kupować sztucznego błękitu i Emil Azriel zbankrutował. Interesował się historią nauki i filozofią. Zastanawiało go funkcjonowanie ludzkiego umysłu. Szukał tego co niezmiennie - w czasie i w różnorodności zdarzeń. Zacznie publikować dziesięć lat później i stanie się jednym z najwybitniejszych francuskich filozofów. Albert Einstein powie o nim, że go przekonał o rzeczach, które sam ledwie przypuszczał. Na rok przed śmiercią odwiedzi Meyersona (w Paryżu zmienił pisownię swojego nazwiska) znany polski pisarz. Zobaczy cierpiącego, przykutego do łóżka starca - z dużą głową, białą brodą i młodymi oczami. Spyta go, dlaczego tak późno zdecydował się na pisanie. Filozof

odpowie, że na starość odczuwał potrzebę rozrywki. Skoro pisanie jest rozrywką, dlaczego podejmuje tematy tak trudne? Bo sprawy łatwiejsze, wyjaśni, rozrywki mu nie dostarczają... W tym Paryżu będzie mówił *piękną polszczyzną, takim głębokim, niskim tonem, jakim starsi panowie rozmawiają w Lublinie...*

Ukazały się *Poezyje. Serya druga* Franciszki Arnsztajnowej. Z poematem zaczynającym się od słów: *Boże mych ojców, wielki Boże Izraela...*

W Teatrze Miejskim w Krakowie odegrano *Krystynę* pióra F. A. Bohaterka sztuki piła z *odurzającego kielicha sławy* lecz *podeptała serce drgające, złożone u jej stóp*. Widownia liczyła na premierze pięćset osób, na drugim przedstawieniu dziewięćdziesiąt. Po spektaklu została recenzja, niezbyt pochlebna, egzemplarz inspicjenta przepisany kaligraficznym piśmem i zestawienie kosztów. Nie były wysokie: sto czterdzieści dwa złote reńskie.

Chaim Weinberger nie uzyskał zgody na prowadzenie domu modlitwy o eleganckim wystroju. Stałby za blisko klasztoru, a winien być oddalony przynajmniej o sto kroków od najbliższej chrześcijańskiej świątyni. Chaim W. otrzymał zgodę na inny dom, dwieście pięćdziesiąt sążni od Dominikanów.

Syn Michaliny Sz. sięgnie po obrazek, akwarelkę. Artysta-amator namalował jego rodziców i kamienicę - jeszcze prawdziwą, przed remontem. Ojca - opar-

tego o murek winiarni; godzinami potrafił tak stać i bez słowa przyglądać się całemu światu. Matkę - dozorczynię od pięćdziesięciu lat, zmęczoną praniem w balii cudzej bielizny i paleniem w cudzych piecach; drzewo dawno by uschło, a ja żyję, mawiała, owijając bandażem ropiejące żyłaki, które nigdy nie chciały się zagoić.

Zetrze z obrazka pajęczynę, na miejsce odstawi samowar, zacznie zbierać się do szpitala, chociaż do kolejnej chemioterapii będą jeszcze ze dwa tygodnie.

Widok z okien - ciąg dalszy.

W d o w a

W ostatnim, narożnym domu (widać go z bocznych okien kamienicy, z trzeciego piętra) zamieszkało małżeństwo: mężczyzna w średnim wieku i młoda kobieta.

Nazywał się Leon Felhendler. Dawno temu był poważnym obywatelem Żółkiewki: synem rabina Symchy, zięciem Lejba Gilberta, kupca zbożowego, mężem pobożnej Tojby i ojcem dwóch synów.

Wszystkich wywieziono do Sobiboru.

Ojciec, teść, żona i dzieci zginęli pierwszego dnia; poszli do komór gazowych prosto z rampy kolejowej.

Leona F. skierowano do pracy. Kiedy przyjeżdżał transport i kończyła się selekcja, odnosił bagaże do magazynu. Tam sortował i układał przywiezione przez Żydów ubrania, lekarstwa i biżuterię. Poznał ubranie swojego młodszego syna, pierścionek swojej siostry i obrączkę ślubną jej męża. Schował ją. W październiku 1943 przewodził powstaniu w Sobiborze - razem z Aleksandrem Peczerskim, jeńcem, oficerem Armii Czerwonej.

Uciekł z obozu. Przeżył na wsi, w polskich domach, w pobliżu Żółkiewki.

Spotkał dziewczynę - niewysoką, z bujnymi, czarnymi włosami. Przypomniła jej, że się znają. Widował ją kiedy była dzieckiem, a on statecznym ojcem rodziny...

Wzięli ślub.

Zamieszkali w pobliżu kamienicy.

Po żonie Leona Felhendlera został krótki tekst spisany na poliniowanych kartkach szkolnego zeszytu.

„... byliśmy ze sobą razem pięć tygodni i trzy dni... był bardzo szczęśliwy i często mówił, że nie wyobrażał sobie w Sobiborze, że jeszcze w życiu będzie mógł zaznać szczęścia... Otrzymałam jako podarunek ślubny Jego skarb, z którym miał się nie roz-

stawać do śmierci, obrączkę ślubną szwagra z Sobiboru, z którą ja nie rozstanę się już nigdy.

Drugiego kwietnia przed siódmą wieczór siedzieliśmy w naszym pokoju. Był to ostatni pokój, mieszkaliśmy w sublokatorstwie. Usłyszałam ruch w pokoju gospodarzy. Leżałam na tapczanie czytając książkę. On coś pisał. Coś mnie tknęło. Powiedziałam tylko «Leon, to oni». Doszedł do drzwi. Ujął za klamkę. Padł strzał. Jeden strzał przez drzwi. Stał błądy. Zerwałam się nie rozumiejąc. Uciekajmy drugimi drzwiami, powiedziałam. «Nie mogę... Mam kulę, o tu». Lecz jeszcze nie chciałam wierzyć, nie mogłam uwierzyć, że to tak, aż tak okropne. Uciekliśmy na ulicę. Złapałam dorożkę. Pojechaliśmy do szpitala. Męczył się jeszcze trzy dni...

Historię tę opowiedziałam za Niego, ja, żona jego, po dziewięciu miesiącach jego nieobecności, lecz zdaje się, że On jeszcze żyje i sam opowiada."

Kartki przekazano Instytutowi Pamięci - Yad Vashem - w Jerozolimie. Ktoś uzupełnił je informacją, że wdowa po Felhendlerze liczy sobie dwadzieścia lat.

(Wybiegli na ulicę...

Na lewo był kościół Dominikanów, na prawo Trybunał...

Przed domami stali ludzie... Mówili, że wieczorem jest chłodno, ale w powietrzu czuje się już wiosnę...

Była to pierwsza wiosna, powojenna, więc mówili: dożyliśmy, doczekaliśmy się... Zobaczyli mężczyznę, wysokiego, chudego, zalanego krwią...

Kobieta ciągnęła go za rękę...

Potykała się na kamieniach...

Szli w stronę Trybunału...

W rynku, przed Trybunałem, stały dorożki...

Dorożkarz położył derkę, żeby nie zabrudzili siedzenia i pomógł im wsiąść...)

Była ładna. Ci, którzy znali ją, opowiadali, że była nieduża, ale ładna, z niebieskimi oczami przy ciemnej, smagłej cerze, z długimi, prostymi włosami, które starannie upinała na karku w gruby węzeł.

Nie zapamiętali imienia.

Wyjechała z Polski.

Popadła w obłąd.

Zmarła w szpitalu psychiatrycznym.

Nie wiadomo kto i dlaczego zabił Leona Felhendlera.

Jego śmierci nie wspominali w ciepłe wieczory ludzie na taboretach.

Wiele lat później, ponad pół wieku później, zapewnią stanowczo: takie coś dyskutowane u nas nie było.

PRZYPISY

Strony 7-10

Fragmenty wierszy Franciszki Arnsztajnowej pochodzą z jej pierwszego tomu (*Poezye*) wydanego w Warszawie w 1895 roku.

Strona 14

Rówieśnicą i koleżanką szkolną Jana Arnsztajna była Ewa Szelburg (w przyszłości Szelburg-Zarembina, popularna pisarka). Miała deklamować wiersz na konspiracyjnym wieczorze w salonie Arnsztajnow. Był to wieczór płaczący, prosili uczniowie, więc Jan A. zaproponował utwór heroiczny, swojej matki. Wśród słuchaczy był młody człowiek „z ciemnoszarymi oczyma o rzęsach ciemnych, gęstych...” Nazywał się Stach Czechowicz. Pozostanie w historii literatury polskiej ponieważ był starszym bratem poety. Relacja pisarki o tamtych czasach ukazała się w tomie *Spotkania Z Czechowiczem. Wspomnienia i szkice*, opracowanym przez Seweryna Pollaka (Lublin 1971).

Wiele lat później Ewa Szelburg-Zarembina i Pola Gojawiczyńska *znajdą* Franciszce Arnsztajnowej bezpieczne schronienie pod Warszawą. F. A. z niego nie skorzysta.

Strona 14

Józef Czechowicz *Koń rydzy. Utwory prozą*. Lublin 1990.

Dzieje relikwii opisali O. Szczepan Jaroszewski w książce *Ojciec Paweł Ruszeń! dominikanin lubelski (1593-1658) Promotor Krzyża Świętego*, Lublin 2000 i Jakub Mames w nieopublikowanej pracy pt. *Historia relikwii Drzewa Krzyża Świętego*.

Jakub Mames jest emerytowanym docentem Politechniki Lubelskiej, byłym rektorem, specjalistą od konstrukcji żelbetowych. Badał stan techniczny bazyliki Dominikanów; przez dwa lata rysował i fotografował pęknięcia i rysy w murach kościoła. W podziemiach jednej z kaplic zobaczył zamurowaną niszę. Przekuł wejście, wyjął cegły, zobaczył trumnę. Leżały w niej szczątki zwłok w strojnych szatach. Przeor powiedział, że to biskup Andrzej, który przywiózł do Lublina drzewo Świętego Krzyża. Spoczywał w trumnie od pięciuset sześćdziesięciu lat. Po tym odkryciu Jakub Mames zainteresował się relikwią. Odtworzył jej historię, rezygnując z legend na rzecz wielkiej polityki (Polska-Moskwa-papiestwo i tak dalej).

W domu Jakuba Mamesa znajdował się przez wiele lat inny krzyż pamiątkowy. Należał do jego żony, Barbary, prawnuczki Ignacego Prądyńskiego (był uczestnikiem wojen napoleońskich, powstańcem listopadowym i budowniczym Kanału Augustowskiego Narew-Niemen).

Zrobiono go z drzewa cisowego, z trumiennej listwy.

Wyruszając z odsieczą na Wiedeń król Sobieski chciał mieć przy sobie relikwię: okruch kości Świętego Kazimierza. Przy otwieraniu trumny obecny był hetman Michał Pac. Poprosił o kawałek drewna. Snycerz zrobił krzyż; kolejny spadkobierca hetmana ofia-

rował go przyjacielowi, Ignacemu Prądyńskiemu. Ostatnia z tej linii Prądyńskich, Barbara Mames, przekazała pamiątkę Janowi Pawłowi II. Jak obliczył jej mąż, krzyż miał dwunastu właścicieli. Żaden nie zginął tragicznie, choć wielu było żołnierzami, powstańcami i zesłańcami. Dwaj cudem uniknęli śmierci: Edward Prądyński, gdy go Rosjanie dwukrotnie wieszali podczas powstania styczniowego (złamała się gałąź i urwał się sznur) i papież, kiedy do niego strzelali.

Strona 21

Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego, z pozostałych po nich rękopismów przepisane i wydane przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1857.

Strona 22

Pamiętniki Marcina Matuszewicza, Kasztelana Brzesko-Litewskiego. Warszawa 1876.

Strona 23

Materiały źródłowe do dziejów Żydów w księgach grodzkich lubelskich z doby panowania Augusta II Sasa 1697-1733. Opracował Henryk Gmiterek, Lublin 2001.

Strona 24

Lubelski Teatr NN rozdał dzisiejszym mieszkańcom miasta przedwojenne adresy i nazwiska Żydów. Ludzie wysłali pod te adresy kartki z życzeniami i listy; koperty wróciły z pieczętką „adresat nieznany”. Teatr zrobił makietę żydowskiego miasta. Znalazł fotografie. Nagrał wspomnienia. Zmieszał ziemie. Za-

palił Gwiazdę Dawida... Teatr szuka formy, która - jak nakazywał Arystoteles - przez wzbudzenie litości i trwogi prowadzi do oczyszczenia, do katharsis... Teatr nie chce uwierzyć, że nie będzie katharsis. Ze musi - jak Maria Janion - „żyć w nadmiarze bólu, w poczuciu nieodwołalnej straty oraz żałoby, która nigdy nie może się skończyć”.

Strona 25

Wiersz *Przybłąda* ukazał się w tomie *Poezye. Serya druga* (Kraków 1899). Zaczyna się strofą następującą:

*Boże mych ojców, wielki Boże Izraela,
Ty, coś mię ongi wyrwał z rąk nieprzyjaciela,
Ty, coś mi przejść pozwolił przez Czerwone morze,
Przecz - żeś mię dziś opuścił, wszechmogący Boże?*

Jest to jedyny wiersz, w którym Franciszka Arnsztajnowa mówi o swoim żydowskim losie i żydowskim dziedzictwie.

W powojennym zbiorze *Wiersze* opublikowanym przez Wydawnictwo Lubelskie nie ma *Przybłądy*. Autor wstępu zapewnił, że tom obejmuje prawie cały dorobek poetki. Prawie - bo pominięto „utwory o niskich wartościach artystycznych”.

Przybłąda nie jest utworem gorszym niż inne. Przeciwnie. Jest wierszem przejmującym, jednym z najciekawszych i najważniejszych we wczesnej twórczości F.A.

Nie o to zapewne chodzi, że był to nienajlepszy wiersz.

Był to - nienajlepszy czas dla „żydowskiego” wiersza.

Książka ukazała się w roku 1969.

Strona 26

Zdanie o Matce Boskiej - z *Wyboru Pism* Simone Weil, Paryż 1955.

Strona 30

Antoni Słonimski *Murzyn Warszawski*, „Skamander” nr 58/1935.

Strona 34

Informacje o gruźlicy - z „Gazety Lekarskiej” nr 26/1917 i z „Nowin Lekarskich” nr 18/1925.

Strona 36

Ponownie - Józef Czechowicz *Koń rydzy...*

Strony 38-43

Wszystkie wiersze Józefa Czechowicza przytoczone w książce pochodzą z *Wyboru wierszy*, Lublin 1974.

Strona 53

Franciszka Arnsztajnową *Wiersze*, Lublin 1969.

Strona 55-56

Dwugłos opublikowano po wojnie - i w tomie Franciszki Arnsztajnowej, bez informacji o współautorstwie Czechowicza, i w wyborze jego utworów z dopiskiem „pisane z Franciszką Arnsztajnową”. Przed wojną, w 1934 roku, ukazał się ich wspólny tom pt. *Stare kamienie*.

Strona 62

Fragment sztuki *Czasu Jutrzennego* (pierwodruk w „Pionie” nr 19/1937). Była to jedyna sztuka Józefa Czechowicza wystawiona za życia poety. Grano ją na scenie kameralnej Teatru Narodowego, razem z jednoaktówkami Norwida i Rittnera, w ostatnim przedwojennym sezonie teatralnym. Reżyserował Wiłam Horzyca. Utwory Norwida i Rittnera budziły zachwyt, tekst Czechowicza przyjęto niedobrze. Publiczność robiła głośne, żartobliwe uwagi, Słomimski pisał o nudnym elaboracie przeładowanym poetycznością i pozbawionym poezji. Autor siedział na premierze w pierwszym rzędzie, koło Stanisławy Horzycowej, słyszał chichoty i kpiny, był bliski płaczu.

Strona 71

Bystrzyca nadawała się do wielu rzeczy: do poezji, pozowania malarzom i fotografikom, nadrzecznych spacerów, kąpieli, wędkowania i do taszlich — noworocznego żydowskiego obrzędu. Żydzi przychodzili nad Bystrzycę, wywracali kieszenie i wrzucali do wody swoje grzechy. Nie każda woda nadaje się do przyjmowania grzechów. Musi płynąć i muszą żyć w niej ryby. W Bystrzycy żyły lipienie, bolenie, pstrągi, certy, brzany, jazie i miętusy. Niosły ludzkie winy do Wisły i do morza. Oczy miały otwarte, więc nie przegapiały najmniejszego grzechu, a woda chroniła je przed złym urokiem.

Podczas drugiej wojny światowej piasek znad Bystrzycy nadawał się do...

Strona 73

Dlaczego Bóg zaczął Biblię od drugiej litery alfabetu dowiedziałam się z *54 komentarzy do Tory* Konstantego Geberta (Kraków 2003).

Ludzie czytają i komentują Księgę od trzech i pół tysięcy lat i jest to, jak pisze autor, najdłuższa debata w historii ludzkości. Wydaje się, że pytano już o wszystko, ale z każdym kolejnym pytaniem debata zaczyna się od nowa. Tym razem pytania zadawał Kostek Gebert. Jego odpowiedzi są pierwszymi komentarzami do Tory napisanymi w języku polskim.

Księgę czyta się na głos, w języku hebrajskim, w synagogach całego świata.

Jeszcze niedawno - sześć, może osiem lat temu - w warszawskiej synagodze czytali pobożni przedwojenni Żydzi, których uczył srogi mełamed w Łaskarzewie, Karczewiu czy innym Rokitnie. Czytał pan Zygmunt, ostatni, który handlował koszernym mięsem. Czytał pan Mojżesz, ostatni rzeźnik rytualny. Czytał pan Henio, ostatni zawodowy gracz w sztos, pokera, ruletkę i sześćdziesiąt sześć. I czytał pan Dawid, ostatni kantor, który raz w roku, w święto Jom Kipur, śpiewał - jak nikt nigdy tutaj nie zaśpiewa - El malea rachamim, Boże pełen miłosierdzia.

Umarli - pan Zygmunt, pan Dawid i pan Henio. Pan Mojżesz wyjechał i nie pisze listów.

Torę czytają pobożni Żydzi - powojenni.

Których tego czytania nauczył amerykański rabin. Do których Tora przybyła z Nowego Jorku i Filadelfii.

Strona 76

Wszystko jest na swoim miejscu: mur, rzeźnia, wieża ciśnień. (Na wieży stali Niemcy; mieli doskonały

widok; widzieli co dzieje się między murem i halą ubojni.) Robert Kuwałek, historyk z Muzeum na Majdanku, przywozi tutaj niemieckie wycieczki. Rzeźnia jest w stanie upadłości, więc o pozwolenie trzeba poprosić syndyka. Syndyk masy upadłości wyraża zgodę i Niemcy, którzy chcą wiedzieć jak było naprawdę, przekraczają bramę z napisem „LUBMEAT S. A. Rok założenia 1929”. Następnie Robert K. tłumaczy gdzie był tor i dokąd odjeżdżały pociągi. Wymienia liczby i nazwy obozów. Zna wielu ocalałych Żydów, ale nikt nie odjechał pociągiem sprzed rzeźni. Dowiedział się o kobiecie: przeżyła i po wojnie zamieszkała w Sydney. Tam opowiedziała coś do mikrofonu, zaplombowała kasetę i złożyła w miejscowym muzeum. Jej córka domyśla się, że matka schroniła się między zwierzętami, ale nie jest pewna. Matka milczała aż do śmierci. Córka dowie się wszystkiego w dwa tysiące dziesiątym roku, kiedy będzie jej wolno otworzyć kasetę.

Strona 77

Nowe getto miało być wzorem dla innych gett: czystość, porządek, ogródki przy domach... Utworzono je na przedmieściu, w pobliżu Majdanka. Istniało pół roku. Jego mieszkańcy zginęli w obozie i w Lesie Krępieckim. Po nich zwożono na Majdanek ludzi z Warszawy. Próbował skontaktować się z nimi Zygmunt Frydrych, przyjaciel Marka Edelmana. Marek Edelman nie pamięta kogo Zygmunt szukał na Majdanku. Może Cyli, swojej żony. W Lublinie pomagał mu ktoś z PPS-u. Pracował w służbach miejskich - wodociągach czy elektrowni. Pożyczył Zygmuntowi uniform,

auswajs i opaskę z numerem, „kontramarką” uprawniającą do wejścia.

Nie, chyba nie Cyli szukał, Cyła zginęła wcześniej...

Pierwszego dnia powstania powiedział o Elżuni, swojej córce, i o kobiecie z Twardej.

Było wcześnie, dziewiąta, może dziesiąta rano.

Słyszeli strzały.

Zygmunt usiadł koło niego. Powiedział: ja nie przeżyję tego, a ty przeżyjesz. Pamiętaj: klasztor, Zamość, Elżunia ma na imię...

Potem mówił o dziecku. On nie przeżyje tego wszystkiego, ale jest dziecko, z kobietą z Twardej.

Siedzieli na kozetce, oparci o ścianę.

Słyszeli strzały.

Zygmunt nie przeżył.

Kilka tygodni po wojnie Marek Edelman poszedł na Twardą. Dom nie był zburzony. Drzwi były otwarte. Z głębi, zza kotary wyszła młoda kobieta i stanęła za ladą. Wiedział od Zygmunta, że gdzieś tutaj mieściła się pralnia, a za kotarą są schody na antresolę. Zygmunt, kiedy przychodził z getta, sypiał na antresoli na materacu.

Przedstawił się: jest przyjacielem Zygmunta. Wie o dziecku i jeśli jest jej potrzebna jakaś pomoc...

Przerwała: nie potrzebuje pomocy.

Była sympatyczna. Niższa od Cyli, ale Cyła była wysoka, prawie tak jak Zygmunt.

Nosiła białą bluzkę i ciepłą chustę narzuconą na ramiona. Nie wyglądała na zbiedzoną, na odwrót, miała rumianą, zdrową cerę.

Stali oboje, po dwóch stronach lady. Na podłodze leżało połamane krzesło.

Powtórzył: bo gdyby pani potrzebowała czegoś...

Zrobiła gest, który miał znaczyć, że da sobie radę i żeby już się nie zajmować - nią ani jej dzieckiem.

Pożegnał się.

Wrócił po kilku miesiącach.

Dom stał. Pralni nie było. Dziecka nie było. Kobiety nie było. Nie zobaczył jej nigdy więcej.

Strona 78

O Grajerze opowiadali ludzie, którzy przeżyli wojnę, między innymi Ida Gliksztajn (jej relacja znajduje się na Majdanku) i Irena Gewerc-Gottlieb (w rozmowie z Robertem Kuwałkiem, zamieszczonej w lubelskim tygodniku „Na przykład” nr 20/1994).

Strona 87

W kwietniu 1977 roku Wiktor Kulerski, nauczyciel, chciał zorganizować marsz - sztafetę pamięci. W każdym miasteczku, które mijali Żydzi, uczniowie miejscowej szkoły mieli przebyć „swoją” część tamtej drogi. Sztafeta kończyłaby się na rampie kolejowej. Władze oświatowe nie wyraziły zgody.

O tamtym marszu, prawdziwym, i o tym, który się nie odbył, Wiktor Kulerski napisał w kwartalniku „Krytyka” nr 15/1983.

Strona 89

Krystyna Modrzewska, profesor antropologii w Uppsali, przeczytała fragmenty *Wyjątkowo długiej linii* zamieszczone w gazecie i przysłała mi list. Mówiono jej, że Arnsztajnowa miała w getcie czarną suknię, ale nie przypięła do niej orderu, bo wszyła go w poduszkę rękawa. I nie zastrzelili jej, tylko wywieźli do Treblinki.

Bardzo możliwe.
Wszuła order i nie wyjęła go.
Wszuła i zdażyła wyjąć.
Umarła w szpitalu.
Zginęła od kuli.
Zginęła w Treblince...

(„Tak mogło to wyglądać. Mogło się też zdarzyć zupełnie inaczej... ”)

Krystyna Modrzewska ma fantastyczną pamięć. W książce *Trzy razy Lublin* (Lublin 1991) wspomina szkolne koleżanki - Halinę, zastrzeloną na żydowskim cmentarzu, Cesię, której matka próbowała otruci się jodyną, Hełę, której nigdy nie zwróciła zeszytu do fizyki, Zosię, która wstydziła się, że matka sprząta na poczcie, i jeszcze jedną Halinę, której nie lubiła, którą być może lubiłaby bardziej, gdyby wiedziała, że ojciec podaje jej truciznę za latrynami na Majdanku.

Krystyna M. pamięta ciastka od Rozmusa, pończochy od Konopki, tkaniny od Blumla, roboty stolarskie Finkelsztajna i delikatesy Radzymińskich. Pamięta dorożkarza Mendla, który woził ojca do pracy i fryzjera Himelbluma, który mu wyrównywał włosy. Pamięta wreszcie narastający lęk przed własną, uświadamianą sobie coraz dotkliwiej, transseksualną naturą.

Ojciec Krystyny M., Jakub Mandelbaum, był znanym lekarzem, dyrektorem żydowskiego szpitala. Młodszy lekarze chętnie zapraszali go do konsylium, zaprosił go i Jan Arnsztajn. Zbadali chorego, ale różnili się w diagnozie i metodach terapii. Dyskusję ciągnęli przez telefon, Mandelbaum zniecierpliwiał się, podniósł głos i odłożył słuchawkę. Tego samego dnia w mieszkaniu dyrektora szpitala zjawili się dwaj panowie: sekundanci. Jan Arnsztajn nie zcierpiał imperty-

nencji i wyzwiał Mandelbauma na pojedynek! Reprezentował go kolega-legionista. Sekundantem adwersarza był adwokat Marek Alten. (Kilka lat później zostanie prezesem Judenratu; zginie razem z Grajerem ostatniego dnia istnienia nowego getta.) Pojedynek nie odbył się. Matka doktora Mandelbauma (miała na Krakowskim Przedmieściu ładny sklep z przyborami do szycia i robót ręcznych) surowo zabroniła synowi podobnych głupot. Sekundanci omówili warunki przeprosin i uratowali honor obu zwaśnionych stron.

Strona 92

Dante Alighieri *Boska Komedia*, przełożył Edward Porębowicz, Warszawa 1959.

Strona 92

W tym mniej więcej czasie kiedy Franciszka Arnstajnowa mówiła Schiessen Sie, do domu Hessa Goldsztajn, mieszkanki Zamościa, wszedł gestapowiec. Hessa siedziała przy maszynie do szycia. Nie była krawcową; pochodziła z zamożnej rodziny, ale umiała szyć. Może szyła coś dla wnuczki, której urodę zapamiętały kobiety z sąsiedztwa i o niej opowiadały historykowi po wojnie...

Gestapowiec stanął nad Hessą i krzyknął, że Żydzi mają natychmiast zebrać się na rynku.

Hessa, nie przerywając pracy, powiedziała, że wie o tym, ale nie zamierza nigdzie iść.

Niemiec, z rewolwerem w ręku, powtórzył żądanie.

Hessa, nie odrywając wzroku od maszyny powiedziała: proszę strzelać, tutaj, w moim domu.

Gestapowiec spełnił życzenie Hessy Goldsztajn. Miała osiemdziesiąt lat. Była siostrą Icchaka Lejbusza Pereca, zwanego ojcem literatury żydowskiej.

Marysia, czteroletnia wnuczka Hessy, zginęła kilka miesięcy później. Zastrzelono ją pod ścianą restauracji, na rynku Zamościa, razem z rodzicami - matką Reginą i ojcem Julianem, adwokatem, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktorem praw.

Strona 99

Sąsiadka zza ściany:

z bogatej rodziny jestem, patrzy pani, czy biedny nająłby na wsi fotografa? a dziadek najął, ale mamusia przeziębila grypę i dziadkowie nie poprzyznawali nas za wnuczęta. Poniewieraliśmy się to tu, to tam, a jak miałam osiem lat poszłam na służbę. Wyszłam za mąż w wojnę i zaczęłam szyć: ciepłe serdaki, staniki na sznurówki, a spodnie - i do oficerek, i do gumiaków. Na dole ścinało się, żeby wąsko, na górze się naddało, żeby szeroko, a teraz - patrzy pani - spodnie leżą sfastrygowane, serdaki leżą skrojone, staniki pasowne a nienawleczone, we wszystkim kurz, bo od śmierci męża zmęczona jestem. Płochliwa jestem, że aby po słoninkę dla sikorek, po pszenicę dla synogarlic; Noe zabrał synogarlice do swojej arki i teraz do mnie przylatują, na balkon.

Z balkonu ją widzę, co rano. Bym nawet i zagadała, ale nie odpowie. Od kwiatów, co żadna osoba ich nie miała na pogrzebie - nie odpowie nikomu. Jedna pani przyniosła jej radio. Słuchała kilka dni, nie podobało się i wystawiła za drzwi. Przynieśli telewizor. Popatrzyła kilka dni, wystawiła. Widzę ją. Szkoda cię kobieto, myślę sobie, ale cię szkoda, Boże mój.

Strona 111

Jerzy Stempowski *Wspomnienie o Emilu Meyersowie*. „Wiadomości Literackie” nr 56/1933.

Strona 114

W księdze szpitala im. Wincentego a Paulo, pod datą 3 kwietnia 1945, pod numerem 427, zapisano:

Leon Felhendler,

rozpoznanie - przestrzał przez dolną część klatki piersiowej, jelita, żołądek,

dni - cztery (zmarł 6 kwietnia),

koszt leczenia - 3.120 zł, uregulowano.

Adam Kopciowski, historyk, który wie najwięcej o Leonie Felhendlerze, znalazł w księdze szpitalnej paru innych pacjentów - Żydów. Jednemu z mężczyzn, w rubryce „skąd przybył” wpisano: Treblinka. Jednej z kobiet, w tej samej rubryce - Sobibór. Oboje przyjęto przed Felhendlerem. Po jego śmierci żaden Żyd do szpitala się nie zgłosił, w każdym razie żadnego nie wpisano do księgi. Bardzo możliwe, że jest to przypadek.

Gorąco dziękuję za bezcenną pomoc i bezgraniczną
cierpliwość Janinie Arnsztajn-Titkow,

a także:

Danieli Dziewońskiej, Barbarze Engelking-Boni, Jolancie Górniewicz, o. Hieronimowi Kaczmarkowi, Adamowi Kopciowskiemu, Robertowi Kuwałkowi, Stefanowi Krukowi, Ewie Łoś, Jakubowi Mamesowi, Annie Nasalskiej, Zygmuntovi Nasalskiemu, Ewie Pasierbińskiej, Tadeuszowi Radzikowi, Teatrowi NN (Tomaszowi Pietrasiewiczowi i Witkowi Dąbrowskiemu).

Projekt okładki i stron tytułowych: Frakcja R

Na okładce wykorzystano zdjęcia **Józefa Czechowicza**
ze zbiorów Muzeum Literackiego im. Józefa Czechowicza
w Lublinie

Reprodukcja: Piotr Maciuk

Redakcja: Krystyna Krynicka

ISBN 83-85568-62-X

Wydawnictwo a5
ul. Stawarza 16/3
30-540 Kraków

\

Skład i łamanie: Sławomir Onyszko

Druk: Zakład Graficzny Colonel
Kraków, ul. Dąbrowskiego 16